

W numerze: Niebezpieczny pył • W dzień wszystkich przeszłych • „Telimena”
od podszewki • Przebudzenie • Nigdy już nikogo nie powieszę • Wiersze
Recenzje • Felietony • Polonica

odgłosy



Nr 45 (355)
14. XI. 1965
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK

ROK VIII



KONRAD FREJDLICH

CZERWONY MANCHESTER

Nowe miasta poznaje się za-
wyczaj poprzez dworce kole-
jowe. Można oczywiście także
przez lotnisko: cztery samolo-
ty dziennie i w żadnym miejsc,
wyprzedane na tydzień na-
przód. Po poczęstunku w prze-
dziale wagonu sypialnego bo-
lała mnie głowa, było za to
ciepło, kiedy wyszedłem na za-
śnieżony peron. To już druga
fala zimy w tym roku w Iwa-
nowie.

Wiedziałem dobrze, że przy-
jechałem za wcześnie. Pociąg
relacji Moskwa—Kinieszma,
szósta rano, 57 równoleżnik.
Powinienem przyjechać po
prostu iwanowskim, w pół-
torej godziny później, na pe-
ronie nikt na mnie nie czekał.

Nieznajomy w restauracji dwor-
cowej spytał od razu:

— Pan Polak? Proszę wybaczyć,
że pytam, znam tylko dwa słowa
polskie: Brygida i Zosia. Są to
imiona dziewczynek, które jako
smarkacz poznałem w domu pol-
skich dzieci, miasteczko Krasny
Kordon, woroniecką obłast, rok był
wtedy jakiś czterdziesty trzeci. Nie
znam ich nazwisk, one może pa-
miętają, że na imię mi Borys. Dziś
jestem inżynierem, zatrudnionym
przy budowie kanału Wołga —
Uwodź. Serdecznie interesuje się
ich losem. Polska to mały kraj. Mo-
że pan je odnajdzie. Na pewno so-
bie przypomną, kiedy pan im po-
wie, że to chodzi o tego Borysa,
co grał na harmonii.

Polska to mały kraj. Nie wiem,
jak długo prowadziłem tę rozmowę
przerywaną od czasu do czasu za-
powiedziami dworcowego megafo-
nu. Jedną z tych zapowiedzi była
adresowana bezpośrednio do mnie:
u dyżurnego ruchu czeka dzienni-
karz „Raboczego kraja”.

Było już zupełnie jasno, kiedy

wsiedliśmy do „Wołgi”. Pięć mi-
nut później hotel „Centralny”.

— Zmęczony pan?
Z chwilą, gdy człowiek nie jest
bezdolny, ma już ochotę na wszyst-
ko. Więc:

— Dlaczego, jedźmy zobaczyć
miasto — powiedziałem i wycią-
gnąłem papierosa.

— Dużo pan pali — stwierdził
poważnie szofer. — U nas palą tak
dużo tylko ci, którzy byli na woj-
nie.

Do Iwanowa wojna nie dotarła,
choć miasto odczuło jej skutki, na
kilka lat zatrzymało się w swoim
rozwoju. Dało też swój kontyngent
krwi i wzmoczonego wysiłku. Przy
warsztatach stanęli starcy i ko-
biety, wszyscy młodzi mężczyźni
poszli na front. Kiedy zaś żołnie-
rze wrócili z frontu okazało się, że
w Iwanowie kobiet jest cztery ra-
zy więcej niż mężczyzn.

Dziś w Iwanowie kobiet jest tyl-
ko nieco więcej, niż mężczyzn, ale
to już specyfika miejskiego prze-
mysłu: włókiennictwo tradycyjnie
oparte jest na pracy kobiet. Me-
czyźni znaleźli zatrudnienie w licz-
nych zakładach budowy maszyn,
wzniesionych po wojnie. Można po-
wiedzieć: żelazo konkuruje z prze-
dzą.

Iwanowo jest miastem czytelnym,
widać na nim wszystkie szwy nie
tak znowu odległe historii. Tuż
za starym „findesieclowym” źród-
łem zaczyna się obszar dREW-
nianych, osobnych domków, lekko
zdobionych nacięciami w drzewie.
Nie jest to spadek po kapitalizmie,
jak by sobie można pomyśleć, ale
pomyśleć ortodoksyjnie. Ciasny
płóciennych domków wzniesiono w
okresie pierwszych pięćdziesiąt lat.
Nawet w dzielnicach mieszkaniowych
wyrzucono na krańce miasta: seryj-
ne bloki, na kilkadziesiąt rodzin
każdy. Za wzorem największych
miast Związku Radzieckiego także
w tym mieście fabryki i wyższych
uczelni wzniesiono Iwanowskie Cze-
remuszk (Czeremuszk — nowoczes-
na dzielnica mieszkaniowa w
Moskwie — przyp. mój — KF).

Mój cicerone powiada, że kiedy
bada bogatsi drewniaki się rozbie-
rze i wybuduje nowe, funkcjonalne
domy, ze szkła i betonu. Na razie

Dalszy ciąg na str. 3

HALINA BATOROWICZ

Od pomysłu
do prze-
mysłu
...droga daleka

W jednym z łódzkich zakładów
przemysłu bawełnianego Instytut
Włókiennictwa prowadził niezwykle
interesujące prace zmierzające do
usprawnienia procesu produkcyjnego
wydziału przedziałni. Chodziło o li-
nie potokową; o zagregowanie zespo-
łu maszyn trzepających ze zgrzeblar-
kami, o stworzenie ciągłej linii aż do
taśmy włóczki. Zespół z Instytutu
zajmujący się całą sprawą wiedział,
że po zakończeniu prac wydajność
zgrzeblarek będzie pięciokrotnie
wyższa w stosunku do obecnej. A
więc wydajność na poziomie najwyż-
szych norm światowych!

I wszystko było na jak najlepszej drodze.
Alisi pewnego dnia z fabryki odszedł „sta-
ry” dyrektor, a jego miejsce zajął „nowy”.
Doświadczenia przerwano, bo nowy dyrek-
tor powiedział, że... się nie zgadza. I jak
fama niesie przystąpił do prac doświadczal-
nych opartych o zupełnie inne niż Instytut
Włókiennictwa — zasady. „Pomysł” dyrek-

tora-fabryki zrodził się ponoć w innym za-
kładzie, w tej chwili jest już przestarzały
i wprowadzony do produkcji nie przyniesie
wymaganych efektów technicznych i ekono-
micznych.

Kiedy o całej tej historii opowiedział mi
jeden z pracowników Instytutu Włókiennic-
twa — pomyślałam, że albo czegoś nie ro-
zumiem, albo się przesłyszałam. No bo prze-
cież: cały kraj, w nim również i Łódź dy-
skutkuje uchwały IV Plenum Komitetu Cen-
tralnego partii. W każdym zakładzie nau-
kowo-badawczym, w każdej fabryce mówi
się o kierunkach zmian w systemie plano-
wania i zarządzania gospodarką narodową,
szuka się konkretnych przyczyn hamują-
cych prawidłowy rozwój badań naukowych
i postępu techniczno-organizacyjnego. Tym
czasem, jakby na przekór nie tylko uchwa-
lom, ale i zdrowemu rozsądkowi, w fabry-
ce, o której wspominałam na wstępie —
przerwywa się badania naukowców z Insty-
tutu, niewczy trud wielu ludzi, na wiele
miesięcy (w najlepszym wypadku) oddala
termin, w którym polski przemysł włókien-
niczy przekraczający jeszcze z czasem i roz-
wojem przemysłu w innych krajach, mógł-
by tymczasem przynajmniej w pewnej dzie

żynie, stać się równorzędnym partnerem
przemysłu światowego.

Pracownicy Instytutu Włókiennictwa —
placówki naukowo-badawczej działającej na
rzecz rozwoju przemysłu włókienniczego, ze
swoimi badaniami zostawieni są w zasa-
dzie... sami sobie. O ile dość dobrze wypo-
sażone są laboratoria analityczne — to spra-
wa oddziałów doświadczalnych przedstawia
się znacznie gorzej. Oddziały rozmieszczone
w różnych punktach miasta i w nieodpo-
wiednich budynkach, z brakami w wyposa-
żeniu, uniemożliwiają racjonalny sposób
prowadzenia prac eksperymentalnych. Czę-
sto badania, z racji rozlicznych kłopotów z
eksperymentowaniem, opierają się w głów-
nej mierze o dane z literatury... i wykonu-
ne są za biurkiem. Niezbyt pomyślnie przed-
stawia się kwestia zaplecza konstrukcyjno-
warsztatowego Instytutu. Zbyt małe są ze-
spół pracowników zajmujących się rozwią-
zywaniem problemów technicznie bardzo

Dalszy ciąg na str. 5



Decyzja konferencji ministrów spraw zagranicznych krajów Azji i Afryki o odroczeniu „II Bandungu” spotkała się z niezliczoną ilością komentarzy, i to często krótko i różnorodnie. Z powodów opinii można jednak wywnioskować istotę: aktualna sytuacja nie sprzyjała tej konferencji. Tak więc postanowienie o jej przełożeniu wydaje się być najrozsądniejsze. Prasa algierska pisała na ten temat:

„Decyzja odroczenia konferencji politycznej planu imperialistycznego, który miałby się odbyć w Algierze, jest decyzją na szczycie ułwici rozpad świata afro-azjatyckiego i połowy kresu nurtu antyimperialistycznego...”

Podjęcie takiej decyzji w Afryce i Azji stało się na wysokości zadań historycznych, zgodnie z zasadami Bandungu...”

Trzeba bowiem powiedzieć sobie wprost, że rozwój wydarzeń na scenie międzynarodowej nieco rozwarstwił „trzeci świat”. Nie mogło być zresztą inaczej, skoro jego zasięg stał się powiększa, a równocześnie wzrasta dynamika działania niektórych krajów na arenie międzynarodowej. Jedną z nowo wyzwolonych krajów stał się już na to, by zajęły zdecydowaną postawę antyimperialistyczną, inne — pozostają jeszcze w pewnym stopniu zależne od mocarstw kolonialnych. Na kłopotach tej wielowarstwowości próbowały wygrzywać niektóre państwa trzecie, co z pewnością nie pozostało bez wpływu na przebieg konferencji. Postanowienie o jej odroczeniu wydaje się zatem być uzasadnione.

Nie mniejsze zainteresowanie niż decyzja algierska wywołało przedstąpienie przez de Gaulle’a, Jego „tak” w sprawie wysunięcia kandydatury w wyborach grudniowych, położyło kres rozlicznym spekulacjom.

Właścicielem niewiele było takich, którzy oczekiwali odpowiedzi negatywnej. Zbyt zaawansował on sprawę, by ich kontynuację mógł powierzyć komuś innemu. A jednak niektórzy ludzie nie... Naprawdę podobnie dlatego, że niebrzy przysięgą okiem patrzy na poczynienia prezydenta.

W tym miejscu — jakoby na potwierdzenie tej opinii — przytoczmy mały fragment z komentarza „Frankfurter Allgemeine Zeitung”. Brzmi on tak: „Jest on (de Gaulle) zbyt dobrym znawcą politycznej Francji, aby nie wiedzieć, że jest jeszcze bardzo oddalony od swego celu. Zdecydował więc przez kilka lat trzymać rękę mocno w dłoni, aby to osiągnąć”.

De Gaulle zarejestrowany został jako szósty kandydat na prezydenta. Ze zgłoszeniem swej kandydatury odcze-

kiwał do ostatniej chwili, stercząc tym samym kampanię wyborczą do miesiąca.

Jakie są jego szanse w dniu 5 grudnia?

Wydać się, że bezsporne. Opublikowane ostatnio wyniki badań opinii publicznej wykazują, że 68 proc. zapytanych zamierza oddać swe głosy na de Gaulle’a.

Drugim poważnym kandydatem, który według tej ankiety może liczyć na co czwarty głos, jest Francois Mitterrand, popierany przez komunistów, socjalistów i większość radykałów. Pozostali czterej nie wchodzić raczej w rachubę.

Wybory prezydenckie we Francji będą miały duże znaczenie — staną się wykładnikiem układu sił i mogą mieć zasadnicze znaczenie na ewoluowanie sytuacji w przyszłości.

„Jeśli Mitterrand — mówił na konferencji sekretarz FPK Waldeck Rochet — otrzyma poważną liczbę głosów, wówczas, nawet jeśli nie zostanie wybrany, wstrząśnie podstawami władzy obywateli. Otworzy zostanie wówczas szeroko perspektywę demokratyczną”.

W grudniu — po raz pierwszy w historii tego kraju — Francuzi wybiorą prezydenta republiki w głosowaniu bezpośrednim. Zasada ta — przypomnijmy Czytelnikom — wprowadzona została wynikiem referendum w roku 1962.

Skoro już o wyborach mowa — warto skomentować wybory nowego burmistrza w Nowym Jorku. Mają one bowiem pewien posmak polityczny.

Otóż wbrew poparciowi Johnsona dla demokracji o nazwisku Beame — zwycięstwo odniósł republikanin Lindsay. Jest to jednak jego sukces osobisty i świadczy nie tyle o sukcesie partii republikańskiej, na oficjalną listę której nie dał się wpisać, ile o porażce demokracji.

Wskutek tej decyzji wyborców nowojorskich liberalni republikanie, których pozycja w ub. roku (po zwycięstwie Goldwatera) została poważnie osłabiona — mają szansę odzyskania autorytetu. Może to zrodzić partię i doprowadzić w przyszłości nawet do zgłoszenia kandydatury Lindsaya na prezydenta Stanów Zjednoczonych.

W tym miejscu wyjaśnijmy, że stanowisko burmistrza Nowego Jorku jest bardzo ważną funkcją, chociażby z uwagi na obszar miasta i jego budżet.

Wreszcie warto podkreślić jeszcze jedno następstwo tych wyborów: wysunięcie nie na pierwsze miejsce Roberta Kennedy’ego, który po porażce Beame automatycznie stał się najpóźniejszym demokratą Nowego Jorku.

Na zakończenie chciałbym zwrócić uwagę Czytelników na zapowiedziany przyjazd do Moskwy brytyjskiego ministra spraw zagranicznych — Stewarta. Po wizycie Couve de Murville’a będzie to drugi w historii ZSRR poważny dialog na temat międzynarodowe. Ale do tego jeszcze powróćmy...

W. SŁAWSKI

Kronika TYGODNIA

■ Rada Ministrów Rumuńskiej Republiki Socjalistycznej podjęła uchwałę w sprawie podwyżki od 9-11 proc. płac pracowników przydiów rad narodowych wszystkich szczebli. Łączna suma dodatkowych kwot jakie uzyskał rumuński świat pracy w br. wynosi 3,8 miliarda lei. W roku przyszłym i następnym wzrost zarobków w Rumunii wyniesie około 6,8 miliarda lei w skali rocznej. Licząc obecny stan zatrudnienia.

Człowiek zmusił nawet pustynię do zakwitnięcia. Jedyną pustynią, której nie udało mu się pokonać znajduje się w jego głowie.

Efraim Kishon — satyryk

■ Prezydent de Gaulle wyraził w czasie posiedzenia francuskiej Rady Ministrów zadowolenie z wyników po-

singer jest wstrząśnięty „nie-mal całkowitym — pisze „Washington Post” — brakiem dojrzałości politycznej wśród obecnych lub potencjalnych przywódców rządu południowowietnamskiego”.

■ Szerokim echem w świecie odbiła się decyzja bezterminowego odroczenia konferencji afro-azjatyckiej. Część prasy światowej wyraża przekonanie, iż oznaka to załamania się współpracy krajów afro-azjatyckich w dotychczasowej jej formie. Komentator austriackiej „Die Presse” pisze: „Obóz Bandungu nie istnieje już... Świat grupuje się na nowo i Algier jest tylko etapem w tym procesie”. Prasa pekińska natomiast uważa odroczenie konferencji jako wielkie zwycięstwo jednoci afro-azjatyckiej oraz jako nową klęskę imperializmu i „tych rządów, które wspierała imperializm”.

■ W okresie od 1 września br. do połowy październi-



Stopień za stopniem.

(Die Zeit)

droży i roznów, jakie odbył minister spraw zagranicznych Francji Couve de Murville w ZSRR. Francuski minister stwierdził, że jego podróż „otworzyła bardzo korzystne perspektywy dla dalszego rozwoju stosunków między obu krajami”.

■ W swoim czasie udał się do Sajgonu na zaproszenie ambasadora USA w Wietnamie Południowym Cabot Lodge’a wybitny specjalista amerykański w dziedzinie strategii politycznej i stosunków międzynarodowych prof. dr Kissinger w celu dokonania „niezależnej oceny kierunku przyszłej akcji politycznej USA” w tym kraju. Rezultaty wstępnych badań: prof. Kis-

nera przybyło do Szwecji ponad 4 tysiące obywateli jugosłowiańskich wraz z rodzinami. Wśród przybyłych przeważają robotnicy wykwalifikowani, którzy z powodu przejściowego bezrobocia w Jugosławii spowodowanego wprowadzeniem w życie nowych zasad zarządzania gospodarką, wykorzystują możliwość przyjazdu do Szwecji bez wizy i wobec istniejącego tam dużego zapotrzebowania na siłę roboczą, pragną znaleźć zatrudnienie.



Nie lubię słów na 4 litery.

(Newsweek)

■ Na przestrzeni ubiegłego tygodnia amerykańskie samoloty zaatakowały pięć wyrzutni rakiet ziemi — powietrze na terytorium DRW. Dwie atakujące samoloty maszyn zostały zestrzelone przez jednostki północnowietnamskiej artylerii przeciwlotniczej.

■ W Związku Radzieckim trwa dyskusja nad nowym statutem kolchozowym. Większość dyskutantów pochodzi z wiejskich obszarów, co wskazuje na potrzebę umocnienia demokratycznych podstaw ustroju kolchozowego.

■ Prezydent Johnson dokonał zaprzysiężenia nowego mianowanego ambasadora USA w Warszawie Johna Grosniewskiego. W przemówieniu okolicznościowym prezydent Johnson podkreślił, iż Grosniewski cieszący się jego wielkim osobistym zaufaniem będzie przede wszystkim ambasadorem pokoju i dobrej woli, którego misją będzie nie tylko budowanie pomostu do Polski, lecz również do in-

nych krajów Europy wschodniej.

■ Po raz pierwszy w historii Francji w dniu 5 grudnia Francuzi wybiorą prezydenta Republiki w bezpośrednim głosowaniu. Sześciu kandydatów na urząd prezydenta wykorzystuje w swej kampanii propagandowej obok środków „klasycznych” techniki orzekazu najbardziej no-

Nigdy nie dowierzam generalom, kiedy w swych pamiętnikach piszą o swych planowych odroczonych. Lord Slim brytyjski feldmarszałek

wczesna: kino, radio, telewizja oraz takie środki łączności jak samoloty i śmigłowce. Obecna kampania wyborcza we Francji wykorzystuje podobieństwo z metodami stosowanymi w czasie kampanii Johna Kennedy’ego w USA. Ukazują się np. hasła w rodzaju: Francois Mitterrand (kandydat lewicy): „człowiekiem dwudziestolecia”. Imię Tixier Vignancoura (kandydat prawicy) można znaleźć na najrozmaitszych drobniactwach takich jak pióra kulkowe, kluczyki, popielniczki, szale, krawaty. Nie zabraknie także w toku kampanii pieśniarzy. Pieśniarz music-hallu Becard śpiewa piosenkę: „Będzie ci go żal”... na cześć generała de Gaulle’a.

■ Na ekrany kin radzieckich wszedł nowy film pod tytułem „Salwy Aury”. W filmie pokazano m. in. sylwetki Trockiego, Zinowiewa i Kamieniewa. Novum w filmie — zdaniem AFP — polega na tym, że chociaż Trocki, Zinowiew i Kamieniew są w nim pokazani jako ludzie, którzy odegrali negatywną historyczną rolę, to jednak nie są przedstawieni w formie karykaturalnej jako osobnicy budzący szczególną odrazę.

■ NRK zakupiła w USA pszenicę wartości około 3,5 miliona dolarów, zgadzając się na przewóz jej w 50 proc. na statkach amerykańskich. Jest to pierwsza w bieżącym roku transakcja zakupu pszenicy amerykańskiej przez kraj socjalistyczny.

■ Rząd szwedzki zamierza wnieść do parlamentu projekt ustawy przewidujący subwencjonowanie partii politycznych ze skarbu państwa. Zgodnie z rządowym projektem subwencje rozdzielane byłyby proporcjonalnie do

liczby mandatów posiadanych przez poszczególne partie w Izbie Ustawodawczej. Dotychczas nieoficjalne poparcie dla projektu zgłosiły partia centrowa oraz KR Szwecji.

Pantomimista, który robi fałszywy gest, ma błąd językowy w dłoni.

Marcel Marceau francuski pantomimista

■ W eksporcie czechosłowackim zaszły dalsze zmiany. 47 proc. wartości eksportu przypada na maszyn i urządzeń, 1/4 produkcji przemysłu maszynowego CSRS idzie na eksport. Udział Czechosłowacji w światowej produkcji maszyn i urządzeń wynosi prawie 2 proc. a w światowym eksporcie tej gałęzi przemysłu ponad 3 proc.

Wielu czytelników prasy kulturalno-literackiej powiada, że jedyne co jest tam interesujące — to listy do redakcji. Istotnie, lektura listów do redakcji w jakiejś mierze uzasadnia ten sąd.

W ostatnim numerze „Kultury” Anatol Stern występuje ostro przeciw Janowi Spiewakowi, który wydał — jak wiadomo — niedawno swoje „Przyjaźnie i animozje”. No, ale w tej książce Sterna przyjaźnia nie obdarzył tylko tym drugim. Lecz nie wprost, tylko przy pomocy trzeciego pisarza, a mianowicie Tadeusza Peipera. Blisko trzydzieści lat temu Peiper był pełen uznania dla twórczości Sterna, a Spiewak pisze, że Peiper mu ostatnio powiedział, że absolutnie Sterna nie ceni. Wobec tego Sterna spytał Peiper, czy to prawda, co pisze Spiewak o Sternie, a co miał Peiper powiedzieć. Peiper odpowiedział, że to nieprawda, czyli, że Spiewak cytując opinię Peipera o Sternie rozminął się całkowicie z prawdą. Historię będzie musiał rozpatrzyć Sąd Koleżeński Związku Literatów Polskich, skoro tylko zostanie wybrany nowy Zarząd. Tak więc przed Walnym Zjazdem Wyborczym pisarze walczą o czystość obyczajów w literaturze.

A o co jeszcze walczyć? Na łamach „Tygodnika Powszechnego” Ludwik Dembiński polemizuje z Kisielcem, a Kisiel z Ludwikiem Dembińskim. Otóż ten ostatni tłumaczy Kisielowi, że nie każde jego (Kisiela) zdanie musi wywołać krajową dyskusję. Dembiński ma rację. Nawet całe felietony, a nie tylko zdania pisane przez Kisiela, śpiących nie obudzą. No, a znowu Kisiel zarzuca Dembińskiemu akurat to samo, to znaczy, że Dembiński nie jest w swoich felietonach kontrowersyjny, nie ma własnego zdania. Kisiel ma też rację, z czego wynika, że obaj mają rację zarzucając sobie wzajemnie ciepłe kluski. Tak więc publiczność „Tygodnika Powszechnego” ostrą piórą po to, żeby wykazać jak bardzo są tepe.

To interesujące skądinąd zjawisko zawiadania czytelników o mankamentach pióra, czy moralnej postawy bliźniego po piórze, da się odnaleźć nie tylko w listach do redakcji, znajdujemy je także bez trudu w całkiem poważnych artykułach. Oto na łamach ostatniego numeru „Twórczości” Krzysztof Mitrak zajmuje się filozoficznym stanem umysłu krytycznej Alicji Lisieckiej. Jak się niestety domyślić znajduje ten stan nie najlepiej, lżej po coś by pisał? Z wywodów Mitraka wynika: że Alicja Lisiecka jest metafizycznym darem, jest koniecznością, którą wszyscy odczuwamy. Gdyby jej nie było w rzeczywistości, to byśmy ją sobie wymyśliли, a więc i tak by była. A właściwie dlaczego? Dlatego, że my wszyscy mali i wlecy, mądrzy i mniej mądrzy potrzebujemy w gruncie rzeczy

autorytetu, który wszystko najlepiej wie. I taką właśnie cechę wszechwiedzy posiada umysłowość filozoficzno-krytyczna Alicji Lisieckiej. Podam może, za Krzysztofem Mitrakiem — kilka przykładów. W latach niewielkich błędów i drobnych wypaczeń Sebor-Rylski pożywał, jeszcze jako uczeń — Alicji Lisieckiej „Historię WKP(b)”. Pożywał, ale jej (historii) nie rozumiał, co mu P. Alicja nie zapomniała wytknąć, kiedy ogłaszała swój sąd nad pokoleniem „przyszłych”, do których i Sebor-Rylski zaszłaflakowała. On miał, ale ona wiedziała. Albo inny przykład. Pisarz nigdy nie wie do kogo jest podobny, sądzi raczej zarozumiale, że do nikogo. A Alicja Lisiecka wie. Czeszko jest podobny do — Babela, Borowskiego, Brandysa, Dąbrowskiej, Faulknera, Hemingwaya, Kadena-Bandrowskiego, Kafki, Tomasza Manna, Maupassanta, Turgieniewa i jeszcze kilku innych, a więc niepodobny do siebie. Konwikt do Becheta. Machajka, Putramenta, Fourniera, Malczewskiego, Jana Chryzostoma Paska i jeszcze kilku innych. Jest podobny, ale o tym nie wiedział, a Alicja Lisiecka wie. I dlatego taka jest potrzebna.

Na gruncie ludzkim, zachowując — oczywiście — odpowiednie proporcje — rolę Alicji Lisieckiej mógłby spełnić sympatyczny autor rubryki p.t. „Z życia wyjęte”, publikowanej co tydzień na łamach „Dziennika Łódzkiego”. W poprzednim numerze „Dziennika” wiedział wszystko, a więc, że Teatr Jaracza nie uzyskał ostatnio czołowej nagrody w festiwalu telewizyjnym, Powszechny nie osiągnął sukcesu w Japonii, pracownicy i współpracownicy TV nie otrzymali nagród w konkursach, plastycy łódzcy nie pokazali ostatnio wybitnych osiągnięć. Film Oświatowy nie uzyskał pierwszej nagrody, śpiewacy operowi — nagród międzynarodowych, pisarze nie wydali kilku nagrodzonych książek i nie nagrodzonych a szeroko recenzowanych, słowem — marazm kulturalny i beznadzieja. A w ostatnim numerze nie wie. Przeraził go pewien niegrzeczny publicysta radiowy. Trzeba przyznać, grzeczny to on nie był. Ale na liście boska, nie należał z tego powodu rezygnować z tej rzadkiej okoliczności, która pozwala pisać: widzę, że nie nie widzę, wiem, że wy nie nie wiecie.

Tak więc lektura cytowanych i z braku miejsca — nie cytowanych czasopism, utwierdza nas w przekonaniu, że dzieją się u nas same ważne rzeczy.

hienbaujaishyid

CZERWONY MANCHESTER

Dalszy ciąg ze str. 1

ze szkła zbudowano tyko pawilon kawiarni „Lipka” w pobliżu kopuły stacyjnego cyrku. Ale to dopiero początek, nie koniec. Miasto się rozwija.

— Tu, gdzie teraz nowe bloki jeszcze niedawno chodziliśmy z fuzją na polowania — tłumaczy cicerone. — Mamy coraz dalej do lasu. A jak u was, w Łodzi?

Pyta zapewne przez uprzejmość. Czym jest Łódź w Iwanowie? Tłumaczyć nie potrzeba. Wiedzą o naszym mieście dużo i ciekawo są każdego nowin. Nina, Zujewa w Górszowie prosi mnie na wstępnie o przekazanie pozdrowień dla jej znajomych: rektora UŁ prof. dr. Piatowskiego i sekretarza Zarządu Łódzkiego TPPR Zynera. Dodaje też, że jeśli już stęskniłem się za polskimi będę sobie mógł porozmawiać w dwóch kółkach polskiego języka, działających w Iwanowie, gdzie aktualnie uczy się 60 osób. Ale chętnych jest znacznie więcej niż mogą przyjąć.

— Chce się pan przekonać, jak pracuje w Iwanowie Towarzystwo Przyjaźni Radziecko-Polskiej? Proszę bardzo. Proszę pojechać do kombinatu im. Frolowa, do Niny Presniakowej, która pracuje jako instruktor kadr przemysłowych.

W kombinacie tym po raz pierwszy od wielu dni mogłem przeczytać polskie słowa. Telegramy i listy od załogi Zakładów im. Marchlewskiego, gdzie po wstępnych słowach uprzejmości znalazły się bardzo rzeczowe uwagi na temat procesów technologicznych stosowanych w Łodzi, mało zrozumiałe dla laika, którym jestem. Potwierdziły się więc słowa Zujewy, że współpraca Łódź — Iwanowo ma charakter bardzo konkretny, a nie tylko towarzyski. Towarzyskich kontaktów nie brak zresztą także. Kolejna delegacja partyjna w Łodzi zaprowadzona w Iwanowie na ślizgawkę.

— Proszę mi wierzyć! — powiedziała Zujewa — nigdyśmy się nie śmiali tyle na raz, co wtedy.

Potem pojechaliśmy do fabryki im. Nadieżdy Krupskiej, która współpracuje z Zakładami im. Harnama, zresztą od niedawna. W 1964 roku zwrócili się do Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Polskiej z prośbą o wskazanie fabryki w Łodzi,

z którą mogliby nawiązać kontakt. Od tej pory wymieniają listy, w których opisują swoje metody produkcji. Nie, do Polski nigdy jeszcze nie jeździli. Oprawdają mnie po fabryce pokazując nowy, dobudowany korpus. Stary park maszynowy modernizuje się, trzeba było zrobić miejsce w halach, stare warsztaty ustawiono więc wszędzie, gdzie było jakiegokolwiek wolne miejsce. Ale robotnicy nie skarżą się, bo modernizacja przyniesie im poprawę zarobków: dziś zarabiają przeciętnie 86 rubli na miesiąc, a więc nie za wiele.

Fabryka, podobnie jak cały Związek Radziecki, żyje dziś hasłami nowych uchwał o zarządzaniu gospodarką narodową. Co to oznacza, niechaj zilustruje transparent, który widziałem rozczytny nad „odną z ulic w śródmieściu”. „Krocząc do komunizmu znacząco oszczędzać”. W numerze hotelowym, ilekroć szedłem na dół, na koiację, zwracała mnie niebieska tabliczka: „Wychoźcie, gaś światło!” Na ulicy, w tramwaju, w trolejbusie, słowo: ten tożność — odmiennie jest przez wszystkich przyjęte. Ekonomia w rasta na królową wszystkich nauk.

To właśnie ta królowa każe budować nowe fabryki z pełną automatyzacją procesu produkcji, nowe domy ze szkła i betonu. Pokazują mi jedną z takich fabryk, kombinat. Przechodzę z hall do hall muskany świeżym wiatrem urządzeń klimatyzacyjnych. Panuje tu stała temperatura 23 st. Celsjusza. I jak tu nie wierzyć w pitagorejską magię liczb: średni wiek załogi także 23 lata. Średni wiek kadry inżynierskiej — lat 32. Tylko dyrektor jest już „staruszką”, liczy sobie bowiem lat 37. Dodajmy, że funkcję swoją pełni już 5 lat i jest absolwentem Miejskiego Instytutu Włókienniczego.

Młoda dziewczyna, technolog zakładów, opowiada mi o działalności rady artystycznej, na której spotyka się odpowiedzialność za estetykę pomieszczeń produkcyjnych i dziedzinia kombinatu.

— Widzi pan te stojaki z kwiatami? — pyta ze spokojem. — To też ich kompetencja. Podobają się to panu?

— Owszem. Jeśli w tych halach mogą rosnąć tak delikatne rośliny, człowiek może rozwijać się jeszcze

lepiej. Człowiek jest mocny — mimo woli wydobywam z siebie jakąś nutkę patosu.

Potem znowu iwanowskie ulice. W parku obok remontowanego właśnie teatru dramatycznego zaczęła mnie młoda Cyganka i chce wróżyć. Śmieszne, ale wobec czekającej mnie niedługo podróży, między kolejnymi podróżami, chciałoby się coś usłyszeć o swoim losie. Przy tym Cyganka przypomina nieco Fraskitę z operetki Lehara, którą oglądałem dnia poprzedniego w miejscowym Teatrze Muzycznej Komedii. Ale nie mam czasu.

— Proszę wybaczyć, czekają na mnie — próbuję się uśmiechnąć.

Nie wierzę. Ja też sobie nie dozwierzam. Mam bowiem tego dnia wystąpić w szkole — internacie nr 6, jako przedstawiciel polskiej, jeśli nie młodzieży szkolnej, to w każdym razie młodzieży.

W Iwanowie z reguły pracują w rodzinach mąż i żona. Jedną pensja idzie na życie, drugą na ubranie i niezbędne inwestycje w gospodarstwie domowym. Powstał więc znany u nas dobrze problem: co robić z dziećmi? — ściślej zaś: co robić, aby dzieci pracujących rodziców nie pozostawały bez opieki?

Powołano więc do życia szkoły-internaty, w których młodzież uczy się i mieszka, a przede wszystkim wychowuje pod opieką wykwalifikowanych pedagogów. Powstanie szkół tego typu zostało odnotowane w chronologicznym kalendarzu historii miasta, widać więc, że przypisuje się im duże znaczenie.

W szkole-internacie nr 6 od 2 lat działa Koło Przyjaźni Międzynarodowej, które urządza wystawę poświęconą Polsce. Ponieważ w Iwanowie Polska z reguły reprezentowana jest przez Łódź, powinno to nas wbić w jeszcze większą dumę i jeszcze bardziej rozdmuchać lokalny patriotyzm.

Tym razem Koło Międzynarodowej Przyjaźni urządza wystawę „Sziroka strona ma radnia” poświęconą narodom Związku Radzieckiego. Na dużej sali, notabene wydzielonej ze szkolnego korytarza, zasiadło blisko 600 dzieci. Wszystkie mają przypiętą do fartuchów i mundurków małą flagę z nadrukowanymi na niej barwami polski i splecionymi dłońmi. Referat o lokalności wygłoszony przez czarnulkę, młodszą uczennicę, zapewne przymusko, trwa króciutko, może trzy, może pięć minut. Potem zaczynają się deklamacje. Dziesięcioletnie brzdące deklamują wiersze ze śmiertelną powagą, dzie ci starsze zachowują się na estradzie swobodniej. Nagle dyrektorka szkoły daje mi znak, abym przemówił. Tłumacząc, że z moim rosyjskim „nieosobiennie” czyli nie-szczególnie.

— Nic nie szkodzi. A tu dzieci

czekają — dyrektorka wymownie pokazuje na salę.

Z mównicy zaznaczyłem, że moja mowa będzie krótka. I rzeczywiście — pod tym względem przedstawiała się wspaniale. W każdym razie dostatek oklaski. Zaś czarnulka po-deszła do mnie i spytała, czy mogę mnie od dnia dzisiejszego uważać za członka swego koła przyjaźni. Powiedziałem:

— Proszę.

I do tej pory nie wiem, czy dzieci ze szkoły — internatu nr 6 uważają mnie za łódzkiego gimnazjalistę, czy też za dziennikarza.

W rozmowach z dziennikarzami przynajmniej takich wątpliwości nie miałem. Tym bardziej, że redaktor miejscowej gazety budowlanych kanałów Wołga — Uwodź powitał mnie dość poprawnym „dzień dobry”. Zaś na pierwszej stronie uderzył mnie polski tytuł: „Kanały naszej przyjaźni” obok niego zaś tłumaczenie „Kanały naszej druzby”.

Redaktor wyjaśnił od razu: — To „I” w tytule dlatego, że w drukarni nie ma ani jednego kompletu polskich czcionek, mamy tylko skład niemiecki.

— A to „s”? — spytałem.

— To już moja wina. Proszę wybaczyć.

Z reportażu dowiedziałem się, że niedawno gościła w Iwanowie delegacja polskich inżynierów z głównym inżynierem projektu budowy kanału Pilica — Łódź, Zdzisławem Własowiczem na czele. Delegację ciekawo interesowała organizacja robót na kanale Wołga — Uwodź, ponieważ budowę kanału łódzkiego zaczęło się w roku 1968. W kanale iwanowskim zaś właśnie zaczęto wypuszczać wodę.

Mnie jednak interesowała głównie redakcja miejscowego dziennika „Leninowiec”. Po trwających blisko godzinę pytaniach członków redakcji na temat: czym są „Od-głosy”, ich czytelnicy, ich redaktorzy, mogłem powiedzieć o zespole „Leninowca” krótko: fajne chłopaki, i młodzi. Prawie o połowę młodszy od swojej gazety, która wychodzi już 46 lat. W zespole redakcyjnym obok dziennikarzy pracują pisarze. Ualentowany poeta, młodziutki Genadij Seriebrjakow podarował mi swój najnowszy tomik wierszy zatytułowany: „Biegun radoci”. Nakład: 8.000 egz., a więc nakład porywczego prozaka w Polsce.

Zaś sam redaktor Witaj Jew-siejew spytał mnie po prostu:

— Nie napisalibyś czegoś dla nas o Łodzi?

Wieczorem zadzwonił do mnie, do hotelu.

— Jesteś wolny?

Poprosiłem go, żeby usiadł na kanapie w numerze, podsunąłem brzydką popielniczkę z figurką lwa.

— Chciałbym cię do nas zapro-

sić na wieczór. Wybac, że może nie będzie tak, jak być powinno, bo jest przed pierwszym.

— Co to znaczy: być przed pierwszym, nie musisz mi tłumaczyć — powiedziałem.

Jew-siejewowie zajmują pokój z kuchnią w nowym bloku. Ciasno, mają trzyletnią córeczkę Marinkę. Na mieszkanie czekali bardzo długo.

— To moje pierwsze mieszkanie, ale, mam nadzieję, nie ostatnie — powiedział Witaj. Kiedyś spijał butelkę koniaku. Jego żona Tamara przyszła do nas, do maleńkiej, ze smakiem urządzonej kuchenki, tylko na chwilę.

— Proszę wybaczyć, jutro od rana pracuję — powiedziała.

Tamara jest krawcowa.

Z Witajem rozmawialiśmy głównie o reportażach. Reportaż jest tym, co utrzymuje prasę, bo ludzie spragnieni są antentyku.

Jutro jedziemy w teren spotkać się z naszymi czytelnikami — powiedział Witaj i zaproponował: — Może pojedziesz?

Chciałem, ale nie było czasu. Gdy on był w drodze, ja zwiadałem muzeum regionalne i pałac pionierów.

Miałeś szczęście — zadzwonił do mnie następnego dnia. Wróciłem dopiero o trzeciej nad ranem. Byłbyś skonany.

Był to już dzień pożegnania. Wyszedłem na miasto, aby się przejść, popatrzeć na miasto. 360 tys. mieszkańców, mniej więcej tyle, co połowa Łodzi. Ogromna ilość fabryk włókienniczych, 12 proc. całej produkcji Związku Radzieckiego w tej branży. Każda minuta w tym mieście to 3000 m bieżących tkanin. Każdego dnia to 300 odprawionych wagonów z tkaninami. Łódź — Iwanowo. Tu i tam podobny przebieg rewolucji 1905 r. Polski Manchester, Czerwony Manchester.

Pod hoteliem czeka już zaparkowana „Wołga”, Wala, pracownica miejscowego wydziału kultury, prosi, abym się pośpieszył.

— Wala, niech pani wraca do miasta — mówię, kiedy przez megalopoli zapowiadają, że samolot do Moskwy opóźni się o 2 lub 3 godziny.

— Widzi pan, miasto nie chce pana puścić. Widocznie przypaść pan Iwanowu do gustu — uśmiecha się Wala.

Pogoda jest fatalna. Okolice lotniska zamknięte. W bufecie pijemy więc koniak i gwarzymy. Wreszcie wiadomość, że pogoda się poprawia. W chwilę później przed budynkiem ląduje maleńki samolot.

Maleńki samolot. Maleńki budynek dworca lotniskowego. Nie wolno poznać miast — rzec lotniska: z reguły kłami. Iwanowo jest efektowniejsze.

Nawet nie wiem, jaka pogoda była przez 5 dni mego pobytu w tym mieście.

KONRAD FREJDLICH



Fot. W. Parys

W ewidencji służby sanitarno-epidemiologicznej Łodzi znajduje się 212 zakładów przemysłu włókienniczego, w których pracuje 115 tysięcy osób, w tym około 66 tys. kobiet.

Przychodnia Przemysłowa m. Łódź prowadzi inną ewidencję, a raczej statystykę dotyczącą absencji chorobowej w fabrykach. Ze statystyki tej wynika, że w porównaniu z zakładami innych przemysłów — włókiennictwo wykazuje

najwyższą nieobecność chorobową z powodu schorzeń układu oddechowego. I tak: w roku 1963 absencja we wszystkich zakładach przemysłowych w Łodzi (z powodu chorób układu oddechowego) wyniosła 792.346 dni. Z tego 254.713 dni przypada przemysłowi włókiennicznemu.

Z drugiej strony rzucą się w oczy inne fakty: stosunkowo niewielka ilość pracowników tego przemysłu otrzymuje skierowania do uzdrowisk pulmonologicznych na leczenie lub pobyt profilaktyczny.

Problem przewlekłej niewydolności oddechowej należy rozpatrywać w dwóch aspektach: zdrowotnym i ekonomicznym. W skali kraju choroba ta jest przyczyną 6000 zgonów i 17.000 przypadków inwalidztwa rocznie. W rachunku ekonomicznym oznacza to utratę około dwóch milionów dniówek roboczych, a świadczenia na zasiłki chorobowe i renty z tego tytułu wynoszą pół milarda złotych rocznie.

Znany „szwaskie poniedziałki”, „murarskie” i inne — symbolizujące skutki niedzielnego nadużywania alkoholu przez pracowników określonych zawodów. W żadnym jednak razie nie należy włączać do tej nomenklatury „gorączki poniedziałkowej” przedziałników. Określenie to, ujęte przez angielskiego lekarza, oznacza alergiczny nieżyt dróg oddechowych znany także pod nazwą „kaszlu tkaczy” lub „gorączki przedziałników”. U osób od niedawna zatrudnionych w przemyśle bawełnianym, zwykłe w poniedziałek lub po dniu wolnym od pracy, po kilku godzinach roboty, występuje ostre podrażnienie dróg oddechowych z ogólnym złym samopoczuciem i podwyższoną temperaturą ciała. Stan taki trwa od kilku godzin do dwóch-trzech dni i mija, by powrócić znowu po dniu wolnym od pracy. W przypadkach przewlekłych nieżyt oskrzeli ustala się i prowadzi do rozedmy płuc. W konsekwencji rozwija się przewlekły proces zwany zespołem płucno-sercowym, a za nim — trwała niezdolność do pracy.

Wyżej opisane dolegliwości nie zostały podciągnięte do rangi choroby zawodowej. W świetle przytoczonych faktów mamy jednak na pewno do czynienia z chorobą zawodową występującą na skutek zapylenia w przemyśle bawełnianym. Jest to problem społecznie ważny i np. Centralne Laboratorium Przem. Bawełnianego w Łodzi opracowało program prac badawczo-naukowych w zakresie techniki pyłowej oraz powzięło ambitny zamiar przygotowania w tej nowej dziedzinie wiedzy personelu techniczno-inżynierskiego.

Z badań pracownika naukowego

tegoż Laboratorium wynika, że w pomieszczeniach produkcyjnych przemysłu włókienniczego przy sta nowiskach pracy, obsłudze maszyn i urządzeń produkcyjnych (głównie w trzepakalni, mieszalni, zgrzeblalni, wilkowni i drapalni) stężenie pyłu w powietrzu jest od 1,4 do 14 razy większe od norm maksymalnie dopuszczalnych. (Mimo zainstalowanych urządzeń odpylających, hermetyzacji maszyn i wentylacji pomieszczeń).

Pył bawełniany składa się z cząstek o średnicy od 0,2 do 100 mikronów. Według badań radzieckich w pobliżu zgrzeblarek 77 proc. ziaren pyłu posiada wymiary od 2 do 10 mikronów. Jest to więc pył najniebezpieczniejszy i najdłuższy utrzymujący się w powietrzu.

Badacz niemiecki Schilling stwierdził, że na stanowiskach pracy w pobliżu zgrzeblarek, gdzie zanotowano największe stężenie pyłu bawełnianego w powietrzu, 47 proc. kobiet zapada na pylicę bawełnianą. Natomiast u pracujących z dala od zgrzeblarek procent ten wynosi 20. Z tego widać, jak poważne zagrożenie stanowi zapylenie powietrza z punktu widzenia zawodowego zagrożenia zdrowia.

Przeprowadzone w tym kierunku badania Działu Higieny Pracy Stacji San.-Epid. w Łodzi ujawniły trzy lata temu następujące fakty: na 260 badań zapylenia powietrza na stanowiskach pracy stwierdzono w 24 proc. stężenie pyłu do 200 mg/m sześć. (dopuszczalne stężenie w Polsce wynosi 10 mg/m sześć). W 1963 r. sytuacja była już lepsza, bo na 600 badań w 18 proc. stwierdzono przekroczenie stężenia. Dane te odnoszą się do oddziałów przygotowawczych, a więc rozbił ni bel bawełny, wilkowni, zgrzeblarek. Lepsze warunki istnieją w przedziałni i tkalni. Natomiast w oddziałach wykończalni, w skład której wchodzi bielnik, farbiarnia, drukarnia i apretura, pracownicy są narażeni na działanie substancji chemicznych, działających wybitnie drażniąco na narząd oddechu.

Jasne teraz staje się zainteresowanie klinicznym problemem przewlekłej niewydolności oddechowej. Dr H. Wieliczński — specjalista

W Łodzi wchodzi w rachubę dodatkowy czynnik, pogarszający rokowanie u osób pracujących w pomieszczeniach zapylenych. Jest nim powietrze atmosferyczne, zanieczyszczone w stopniu szkodliwym dla zdrowia. Np. w śródmieściu Łodzi w ciągu roku na 1 km kw. spada 800 ton pyłu.

wojewódzki w dziedzinie balneoklimatologii stwierdza, że opieka klimatyczno-uzdrowiskowa nad pracownikami przemysłu bawełnianego, cierpiącymi na pyłochłonne schorzenia układu oddechowego jest niedostateczna. Co prawda zakłady przeprowadzają inwestycje usprawniające wentylację i odpylanie powietrza w pomieszczeniach i przy stanowiskach pracy (i to na pewno powoduje zmniejszenie się ilości zachorowań), ale to nie wystarczy. Okresowe badania, prowadzone przez lekarzy zakładowych czy w przychodniach międzyzakładowych powinny być szczególnie skrupulatne. Nie stan przewlekły choroby jest punktem wyjścia do interwencji lekarskiej, lecz stan zagrożenia w postaci pierwszych nieżytów dróg oddechowych. One są już podstawą do kierowania pacjentów na leczenie uzdrowiskowe, zwłaszcza do Szczawnia i Szczawnicy-Zdroju.

Jest sprawa do rozwiązania, czy dla zatrudnionych od wielu lat w środowisku zapyleniu nie należy wprowadzić dwukrotnego w ciągu roku pobytu w miejscowościach podgórskich lub nadmorskich, w atmosferze wolnej od zanieczyszczeń. (raz w ramach pobytu ambulatoryjnego-uzdrowiskowego lub w ramach leczenia sanatoryjno-uzdrowiskowego). Konieczne jest w związku z tym zwiększenie ilości miejsc w sanatoriach pulmonologicznych dla pracowników przemysłu włókienniczego naszego miasta i województwa.

O omawianych wyżej problemach został poinformowany Związek Zaw. Prac. Przem. Włókienniczego, Departament Profilaktyki i Lecznictwa Ministerstwa Zdrowia oraz Centralny Zarząd Uzdrowisk. Wydaje się, że o sprzecznościach tym nie może być mowy. Uchwały CRZZ w sprawie bhp, tendencje resortu i funkcja Uzdrowisk działają jednokierunkowo.

ZOFIA TARNOWSKA

ANDRZEJ MAKOWIECKI

W DZIEŃ WSZYSTKICH PRZESZŁYCH

Dzień taki — jest opinia — powinien być ponury. Powinien zacząć deszcz i wiatr huczeć opętańczo pośród grobów. Pierwszego listopada bieżącego roku pogoda pod tym względem dopisała i sceneria była wymarzona. Siąpiło, wiatr chylił cmentarne drzewa ku pomnikom, zeschły liść wirował na alejkach, a świeczki, lampiony i znicze — przyniesione w ofierze umarłym — rzuciły na marmury chybotały cień.

Ale sceneria sceneria, a ludzie ludźmi — toteż u wrót cmentarza przy ulicy Ogrodowej nastrój był raczej krótkowzrostny i do złudzenia przypominał miejski targ. Stragany, podpierające mury rusztowania — pełne żywego i sztucznego kwiecia; niezliczona ilość małych, zaimprovizowanych na gorąco stoisk, gdzie w teczach, walizkach i pudełkach od butów znalazł się wszystko, czego pragnie dusza. Wozy chłopskie sprzedające towar wprost z platformy, załadowane piaskiem, wiązankami świeczkowych gałęzi i białych chryzantem; babiny handlujące nanizanymi na sznurek obwarzankami, chłopcy zachwalający głośno i w biegu „laamki nagrobkowe” tudzież chorągiewki z „wiecznym odpoczynkiem”; producenty piszczałek, pileczek na gumkę, wiatraczków w przeróżnych kolorach oraz nieodłączni aktorzy wszelkich świąt — baloniarze, których ekspozycja dumnie balansowała na wietrze: wysoko, ponad nieprzebranym mrowiem głów.

Od paru lat zabrakło wprawdzie na cmentarzach loterii fantowych — ktoś się temu sprzeciwił i słusznie — jednak tę namiastkę hazardu z powodzeniem zastępuje ostra konkurencja, jest więc na co popatrzyć i tak.

Miedzy sprzedającymi często wynikają sprzeczki. Obok zażywnej damy królującej nad stertą zielonych gałązek, które ocenia: po 5 złotych sztuka, przycupnęła mizerna starowinka, żeby zbyć swoje wiązanki po 4 złote. Ta zażywna ma powody do złości. Patrzy na starą wzrokiem węża i w krótkich przerwach, kiedy napór ludzki na stragany nieznacznie słabnie, syczy przez zęby: „Wytnie się stąd, jazda!” Staruszka cierpliwie znosi te zaczepki, ba

od czasu do czasu, w przypływie odwagi, atakuje wątlwym głosem przechodniów: „Cztery złote, wybrać, przebrać”. — Jakos tam sobie radzi.

U samego wejścia na cmentarz, pięćdziesiąta siódma drużyna harcerska, co — jak głosi napis — sprzedaje świeczki, aby zarobić na namioty, zwalczą konkurencję krzykliwą reklamą. W porównaniu z handlarzami indywidualnymi którzy też noszą na rękawach szkolne tarcze, harcerze są potęgą; imponują siłą, pomysłowością i humorem. Przyswiecają im ponadto szczytne cele, więc utarg robią wspaniały.

Harcerze z politowaniem spoglądają na sprzedawców białego piasku. Doniczka takiego piasku kosztuje wprawdzie złotówkę i o sam towar nietrudno, lecz z upływem godzin maleją szanse na nabywców. W Dzień Wszystkich Świętych i Zaduszki groby są już uprzątnięte, obłożone zielenią, a ziemia wokół nich — wygrabiona; rzadko kto przysypie ją teraz białym piaskiem.

Targowa atmosfera nie ustępuje — wtęrew nadziejom — za bramą cmentarza. Krzyk, śmiech i harmider trwają nadal. Groby przyległe do głównej alei obsiedli pokurzeni z zimna handlarze kwiatów i lampek, zwarty nurt wchodzących i wychodzących ludzi przecinają raz po raz sprzedawcy żalobnych proporzyczków — najczęściej małe dzieci, także dziewczynki; tuż przy krzyżu otoczonym ciasnym szpalerem tych, co najbliższych pochowali na polach cmentarza, co — prawdziwym obyczajem — stąd, z oddali łączą się z nimi myślami i spalają im świeczki — wybucha naraz bójka o kawałek zebranej z ziemi stearyny. Do szczerzonych we wściekłym uścisku małowców podbiega starszy, ubrany w granatową jesionkę obywatel. „Tu, chłopaki! Bójcie się Boga! Na cmentarzu!” Odchodzą od siebie speszzeni. Ale kawałek stearyny, z którego można zrobić kilkanaście nowych lampek i sprzedać — znów popycha ich ku sobie. Znów się łapią za włosy i okładają pięściami.

A jeśli głęboko zanurzyć się w cmentarz — ujrzyć można rzeczy jeszcze dziwniejsze. — Tam, gdzie niezbyt jasno i brak akurat ludzi — buszują cmentarne hieny. Nie, pomników nie kradną, nie czynią także tego, o czym nawet nie przystoi pisać... łupem ich padają tylko znicze i kwiaty, wieniec i lichutkie świeczki. Doniczka z chryzantemami kosztuje przed cmentarzem 20 złotych. Wystarczy ściągnąć ją z mogiły, wynieść na zewnątrz i wyciąć nożyczkami zwiedle listki, a nabywca zawsze się znajdzie.

Zresztą, kradną nie sami handlarze. Często świece i kwiaty zmieniają groby bez pośredników, bez dodatkowego obrotu gotówki. Wysoka, elegancka pani w żalobie. Zastopowana niespodziewanie przez człowieka w znoszonej kurt-

ce nie potrafi ukryć zakłopotania...

— Ja... — jąka się, i mimo zmroku widać, jak twarz nabiega jej krwią.

— Niech pani to zwróci — mówi spokojnie mężczyzna. Delikatnie odchyła kobiecie połę futra i wyjmując z jej ręki bukiet kwiatów. Odchodzi, żeby złożyć kwiaty na mogile, z której zniknęła; ona płacze cicho, nerwowo... Chciała przecież zanieść je córce; jest uczciwa i nigdy nie kradnie.

Scen podobnych — gdy dobrze popatrzyć — rozgrywa się w Dzień Zaduszki znacznie więcej. Nierzadko bohaterami ich są ludzie na pozór bez skazy, porządni, cisi obywatele, dalecy od myśli oszukiwania bliźnich. Potrafiący natomiast — i trudno to zrozumieć — okraść tych, którzy nie potrafią się już bronić.

* * *

Według poety — pamięć jest dłuższa niż życie. Każdy chciałby zarobić na pamięć. Lęk przed zapomnieniem tworzy wiekopomne dzieła sztuki, literatury i muzyki.

Lęk przed zapomnieniem — jeśli nawiedzał ludzi niewybitnych — rodził piramidy, lub niszczył — jak Herostrates i Neron — świątynie i miasta.

Lęk przed zapomnieniem, gdy zawładnie przeciętnym człowiekiem, wznosi pyszne, granitowe pomniki, które kontrastują dumnie z opuszczonymi, porośniętymi trawą mogiłami.

Im wspanialszy grobowiec — tym dumniejszy ci, co składają na nim kwiaty.

Im grób mniejszy — tym większe i szersze wspomnienia.

Nie ma, oczywiście, reguł bez wyjątku. Cmentarze są miejscem spłotu nieudanej gry z prawdziwą ludzką tragedią, fałszywej rozpacz z nieklamany smutkiem. Czasami taki smutek działa zaraźliwie; przywodzi rozbawionych tracących poczucie taktu ludzi do opamiętania.

Kilka podobnych scen mocno utkwiło mi w pamięci. Raz było to dwóch małych chłopców z uporem podpalających zapałkami parę skromnych świeczek. Wiatr dął ostro z boków i nikłe płomyczki wciąż gasły pograżając mogiłę w ciemnościach. Lecz oni pracowali nieustraszeni. Większy zapalał, a mniejszy ostaniał grób rozpiętym płaszczkiem, w krótkich zaś chwilach, kiedy wszystkie świeczki tliły się chwiejnie, większy też rozchyłał palto i z dwu stron bronili ognia z grobu matki. Ich powaga i milczenie udzielały się z wolna ludziom stojącym przy sąsiednich grobach, ktoś urwał w połowie zdania, ktoś zaczął strofować cicho roześmianą dziewczynkę... ktoś inny westchnął nagle i być może — właśnie wówczas złożył w pamięci szczerzy hołd tym, których już nie ma.

Trudno jest żałować i wspominać na zawołanie. Potrzeba czasem dodatkowych bodźców i skojarzeń. Widoku pograżonych w

smutku ludzi — starca skulonego w bezruchu nad grobową płytą, kobiety wspierającej twarz rękami, niepomnej na ziab i deszcz, dziewczynki wędrującej samotnie pośród zapomnianych mogił, aby zapalić na nich światła.

Pamięć ludzka dłuższa jest niż życie. — Poeta miał rację. Ale pamięć trzeba pomóc. Nie wolno jej przeszkadzać. Szczególnie w czasie tych dwu dni w roku, w święta zmarłych, kiedy nieprzebrane tłumy wędrują na cmentarz nie po to, aby kupować baloniki, aby chrupać słone obwarzanki.

W imieniu wszystkich ludzi, którzy pamięć po zmarłych jest droga, składam protest:

Nie chcemy jarmarcznej atmosfery. Drażnią nas zarówno handlujący krzykliwie harcerze, jak sprzedające świeczki siostry zakonne. Zbiórki na seminarium duchowne są tak niewłaściwe, jak

zabiegi natrętnych żebraków ściągających z obszaru całego miasta.

To nam przeszkadza pamiętać!

To również pozwala przypuszczać, że zmarli wciąż płaczą za siebie, że są pretekstem do robienia pieniędzy.

SPROSTOWANIE

W wywiadzie z prof. dr Ludwikiem Straszewiczem, który zamieściliśmy w 43 numerze naszego pisma, wkraśli się nieprzyjemny błąd zmiany imienia Szanownego Interlokutora. Za pomyłkę serdecznie przepraszamy Pana Profesora Dr Ludwika Straszewicza i Czytelników.

REDAKCJA



BOGDA MADEJ

TELIMENA OD podszewki

„Jedna niezadowolona kobieta zrobi więcej hałasu niż dziesięć zadowolonych”.

(p. Ossowski — dyr. „Telimeny”)

Jesteśmy niezadowolone dość często i z różnych powodów. Jeśli kobieta ma już powód, a przy tym czuje, że jest źle ubrana, biedny jest wtedy mąż, przełożony i najlepsza przyjaciółka. Wprawdzie mówi się, że nie suknią zdoła kobietę, ale przecież już Ewa starała się o figowy listek, więc coś z tym zdołaniem nie tak, jak w przysłowiu. Każda pani wie, że w dzisiejszych zagonionych czasach „własna” krawcowa jest bardzo często nieosiągalnym luksusem. Co wobec tego robi pani pragnąca przyszywać nowy ciuch? Biegnie do sklepów z gotową konfekcją. Gdzie w takiej sytuacji biega łodziarka? Oczywiście do sklepu „TELIMENY”!

* * *

„Telimena, roztańcza blaski swej urody. I ubiór od stóp do głów co najświeższej mody”.

(„Pan Tadeusz” — księga XIII)

„Telimena” przedstawiać nie trzeba. Zakład zajmuje się kobietą już prawie 9 lat, a jeśli się przypomnieć, że rocznie produkuje około 800 modeli, to z prostego rachunku wynika, że przeszło 5.000 płaszczy, sukienek, wdzianek, kostiumów i innych szatowych okryć przedstawiono już do dyspozycji klientek. „Telimena” powstała przede wszystkim po to, żeby pani pragnąca jesienią zaopatrzyć się w płaszczyk, miała pewność, że będzie on skrojony według najnowszych założeń mody. I to jest chyba bardzo ważne, bo do tych założeń musiał się dostosować także większe zakłady odzieżowe. Wprawdzie nie mogą się one poszczycić najaktualniejszymi modelami, bo przy dużych seriach cykl produkcyjny musi trwać o wiele dłużej, ale trzeba było, chociażby ze względów konkurencyjnych, podciągnąć jakość. W sumie, a międzyzakładowej konkurencji zyskuje przede wszystkim klient. Zresztą na „Telimenie” wzorują się także w inny sposób. Nieoficjalnie wieści głosz, że niektóre spółdzielnie zaopatrują się w „Telimenę” w spódnice, a ponieważ odznaczają się one bardzo dobrym krojem, (spodnie, a nie spódnice!), wobec tego pruje się i kopiuje wykreje. No cóż! Różne bywają drogi do osiągnięcia doskonałości. Jeśli już o spodniach mowa. Czy Drogi Czytelniczki wiedzą, że bardzo poszukiwane spodnie z helanco, można nabyć nie tylko w komisie, ale od czasu do czasu także w telimenowskich sklepach, i to za jedyne 400 złotych? Tyle tylko, że rocznie produkuje się ich nie więcej, jak 200 par, a jeśli zwązimy, że „Telimena” obsługuje nie tylko Łódź, że na zdobywie takiej atrakcji trzeba poświęcić masę czasu, to już nikt się chyba nie zdziwi, że o spodniach wie bardzo mało osób, a szczęśliwie posiadaczki można policzyc na palcach. Nie zawsze dobre chęci pokrywają się z możliwościami. Weźmy dla przykładu przybrania z futra. W żurnalach widzi się dużo karakulowych dodatków. Dyr. Ossowski bardzo chętnie widział by je na modelach „Telimeny”, ale ze względu na małą ilość skórek trzeba się

ograniczyć. Zresztą w grę wchodzi także inny czynnik — cena. Oto śliczny beżowy płaszczyk na zimę z ostatniej rewiowej kolekcji. Kolierzyk i mankiety dość obficie obszyte puszystym futerkiem z kuny. Jedna skórka kosztuje przeciętnie 800 zł, na płaszczyk zużyto 4 skórki, a ponieważ całość uzupełnia utrzymywana w tym samym kolorze sukienka, cena kreacji będzie się kształtować w granicach 4.000 zł, i raczej to granicę przekroczy. Rzecz jest rzeczywiście efektowna i elegancka, ale niedostępna dla kieszonki przeciętnej klientki, którą przede wszystkim „Telimena” chce ubrać. Podobnie jak i projektowane na karnawał sukienki z chińskiego weluru. Będą z pewnością urocze, ale cena krótkiej sukienki wahać się będzie w granicach 1.600 zł. W takiej sytuacji produkuje się rzeczy najbardziej poszukiwane, a jednocześnie legitymujące się nie tylko takimi oczywistymi walorami, jak najnowszy krój i staranne wykończenie, ale także przystępną ceną.

* * *

„Mody się nie stwarza. Za modą się idzie”.

(A. Banach — „O modzie XIX w.”)

Wiadomo, że moda kobieca to przede wszystkim Paryż. Moda francuska wprowadzona do Polski przez Marię Ludwikę, a rozpowszechniona następnie przez dwór Marii Kazimierzy i dzisiaj jest wzorcem, na którym operują się plastycy polscy, i nie tylko polscy.

I oczywiście wiadomo, że te francuskie wzory przetwarzają się i przystosowują do naszych warunków. W „Telimenie” zajmuje się tym pięć pań plastyczek, przygotowujących projekty na dwie roczne rewie. Kolekcja rewiowa, przygotowywana w ostatniej chwili na 3 tygodnie przed pokazem, aby przedstawić już naprawdę najnowsze fasony, obejmuje 70-80 modeli, na każdą porę dnia i na każdą okazję. Trzeba tutaj

zaznaczyć, że z rewił wchodzi do produkcji prawie 90 proc. modeli. Niezależnie od tego, co miesiąc przygotowuje się około 20 nowych projektów wchodzących w skład tzw. uderzeniowych dawek, którymi obecnie będą np. sukienki cocktailowe, potem odzież sportowa, jeszcze później wiosenne kostiumy. O wiosennych kostiumach mogłabym coś więcej powiedzieć, ale boję się, że jak o tym napiszę, to zbyt dużo Pań chciałoby się tak samo ubrać jak ja. Dziennikarskie sumienie każe mi powiedzieć, kobieca próżność każe milczeć. Trzeba by to jakoś załatwić. A więc drogi Czytelniczko! Na wiosnę... Jeśli tylko dostawcy nie zawiodą, to zapewniam, że będzie to wystrzałowa rzecz. Jeśli zawiódą i Panie nie takiego nie znajdą, chętnie służę informacjami, ale dopiero na wiosnę.

A teraz poważnie. „Telimena” to 1.200 osób, w tym około 500 krawców. Jeśli chcecie Państwo prześledzić drogę, jaką musi przejść sukienka czy płaszczyk zanim znajdzie się w sklepie służącym swoim niefachowym przewodnictwem. Zaczynając „ab ovo” trzeba powiedzieć to, o czym wszyscy wiedzą — najpierw jest projekt. Plastycy projektanci wspólnie z pracownikami działu zaopatrzenia wybierają odpowiednie tkaniny i projekt z próbą materiału z jakiegoś małego modelu wykonany wędruje do „zespołu wykonawstwa modeli”, jak oficjalnie nazywają się tu krawcowe i modelki. Gotowe już kreacje przedstawia się nabywcom, którzy zamawiają upatrzone dla przyszłych klientów fasony. Handlowe pokazy dla odbiorców organizowane są w „Telimenie” co miesiąc. Teraz zaczyna swoją pracę zespół techników, którzy przedstawione wzory przenoszą na siatkę przemysłową i modele przyszywa się według wymiarów obowiązujących w całym przemyśle. Zespół ten pracuje na dużej sali, przy stołach ustawionych w długie rzędy, dużo pań, na stołach masa papieru, a właściwie fachowo mówiąc — dużo szablonów, na wieszakach wiszą rozpracowywane modele i wszędzie jest bardzo, bardzo ciasno. Jeszcze tylko ze-

Od pomysłu do prze- mysłu ...droga daleka

Dalszy ciąg ze str. 1

łożonych. Ponadto niewystarczające — mówiąc ogólnie — jest powiązanie między Instytutem a zakładami produkcyjnymi przemysłu włókienniczego.

Dziś nie trzeba już nikogo przekonywać o ścisłej zależności między rozwojem ekonomicznym kraju, a postępem technicznym w przemyśle — z jednej strony, a z drugiej zaś o zależności między postępem a rezultatami badań i prac projektowo-konstrukcyjnych prowadzonych przez placówkę naukowego zaplecza technicznego. Nie trzeba też nikogo przekonywać o tym, że postępu technicznego nie stworzą same tylko placówki naukowo-badawcze, że potrzebna jest — i to na co dzień — współpraca, między placówką naukowo-badawczą a zakładem produkcyjnym. Ale współpraca oparta nie na improwizacji i nie uzależniona od dobrego humoru dyrektora fabryki... Rzeczą godną najwyższego uznania jest nieustanny, mimo licznych kłopotów, opty-

mizm zespołu ludzi zatrudnionych w Instytucie Włókiennictwa, ich nieustępliwe nalegania na ściślejszą współpracę Instytutu z zakładami przemysłu włókienniczego. Ostatnio bardzo wiele mówiono na ten temat na konferencji zakładowego koła Naczelnej Organizacji Technicznej, wysunięto nawet szereg konkretnych wniosków pod adresem zbliżającego się V Kongresu Techniki.

Instytut Naukowy, chociaż w „służbie” przemysłu, nigdy nie będzie wyposażony we wszystkie urządzenia „fabryczne”, a więc pozostanie — „laboratorium”. Tymczasem hasło: „Skrócić drogę od pomysłu do przemysłu” staje się coraz bardziej aktualne i pilne. Gdyby centralną placówką badawczą, jaką jest Instytut Włókiennictwa, powiązać z wybranymi przedsiębiorstwami produkcyjnymi, unikłoby się m. in. wielu kłopotów związanych z „wdrażaniem” pomysłów do produkcji. Owo wdrażanie byłoby po prostu automatyczne. Pomysły zresztą, rodziłyby się i w fabrykach, przy udziale zatrudnionych tam na co dzień ludzi, z inicjatywy personelu inżyniersko-technicznego, któremu personel naukowy szedłby z pomocą teoretyczną. W takiej sytuacji placówka naukowo-badawcza nie pracowałaby nad tematami, które są niejednokrotnie robione tylko dla wyświeślenia pewnych założeń teoretycznych, nad tematami nie prowadzącymi do konkretnego celu w przemyśle. Dalsze korzyści współpracy to także możliwość „wymiany”, na pewien czas, niektórych pracowników między Instytutem a zakładem produkcyjnym, możliwość dogłębnego poznania zarówno przez naukowców jak i personelu fabryki strony praktycznej i strony badawczej problemów postępu technicznego.

Sprawa obustronnych korzyści wynikających ze współpracy wydaje się tak oczywista, że nonsensem byłoby dalsze jej, za pracownikami Instytutu, którzy projekt zgłosili — „zachwalanie”. Teraz chodzi głownie o możliwość szybkie i rozsądne decyzje na szczeblu resortu. Jednakże wydaje się, że samo tylko zarządzenie ministra Przemysłu Lekkiego mówiące o tym, że „zakład taki to a taki będzie współpracował z In-

stytutem” — sprawy jeszcze nie załatwi. Trzeba opracować szczegółowe zasady współpracy między fabrykami a Instytutem, może ewentualnie pomyśleć o wydzieleniu części pomieszczeń produkcyjnych dla potrzeb badań naukowych?

Na konferencji NOT, już raz tu wspomnianej, padło wiele wniosków i cennych postulatów, które inżynierowie z Instytutu Włókiennictwa zgłosili pod adresem V Kongresu Techniki także z myślą o innych placówkach naukowo-technicznych.

Wśród postulatów zwraca uwagę ten, który mówi o konieczności rewizji organizacyjnego systemu placówek badawczych i konstrukcyjnych powołanych dla postępu technicznego w danej gałęzi przemysłu a rozdzielonych organizacyjnymi ramami różnych resortów gospodarczych.

Dla rozwoju postępu technicznego w przemyśle włókienniczym pracują w tej chwili dwie placówki: Instytut Włókiennictwa — placówka pozbawiona zaplecza konstrukcyjnego oraz Centralne Biuro Techniczne (CBT) — placówka pozbawiona większego zaplecza technologicznego. Zdaniem inżynierów z Instytutu Włókiennictwa podział jest sztuczny. Instytut Włókiennictwa i Centralne Biuro Techniczne Maszyn Włókienniczych powołano do życia, aby służyły rozwojowi przemysłu włókienniczego. Są to warsztaty twórczej pracy służące temu samemu celowi, ale w obecnej sytuacji idące różnymi drogami. Zamiast wzajemnie uzupełniać swą wiedzę i umiejętności każdą z tych dwóch placówek hołduje zasadzie samodzielnego borykania się ze swoimi koncepcjami technicznymi — co, jak do tej pory, nie daje zbyt zadowalających rezultatów i pożądanego postępu w przemyśle.

Inna propozycja Instytutu Włókiennictwa mówi o korzyściach, jakie mogłyby przynieść tworzone w określonych sytuacjach i na określony czas grupy fachowców różnych specjalności. Grupy takie mogłyby rozwiązywać powierzone im tematy techniczne noszące znamiona nowości w naszym kraju i uznane za niezbędne dla rozwoju gospodarki narodowej, w tym i rozwoju przemysłu lekkiego.

Przy większych zakładach produkcyjnych — proponuje Instytut Włókiennictwa — byłoby pożyteczne powołanie placówek badań czołdoświadczalnych. Niezależnie od ogólnych korzyści byłoby to wskazane w celu uaktywnienia techników pracujących w produkcji i nie zawsze w dostatecznej, jak do tychczas mierze, interesujących się sprawami postępu technicznego.

Przedkongresowe postulaty Instytutu mówią także o potrzebie rozpatrzenia „szytynego”, przynajmniej do tej pory, systemu przyznawania placówkom badawczym z góry ustalonego „limitu etatowego” i odejścia, w uzasadnionych przypadkach (np.: dla przyśpieszenia jakichś rozwiązań technicznych) od schematu pod nazwą: „limit etatowy”.

Nieproporcjonalność w rozwoju placówek badawczych w przemyśle lekkim (w tym i Instytutu Włókiennictwa) w porównaniu ze stojącymi przed tymi placówkami ogromnymi zadaniami w dziedzinie postępu technicznego — jest bardzo znaczna. Dlatego Instytut Włókiennictwa uważa, że właściwe resorty powinny przyspieszyć decyzje dotyczące m. in. doprowadzenia zaplecza do pożądanego stopnia rozwoju.

Starania Instytutu Włókiennictwa — zarówno te, które odbijają się w postulatach zgłoszonych przez inżynierów na Kongres Polskiej Techniki, jak i te „codzienne” zmierzają do rozwoju postępu technicznego w przemyśle włókienniczym. I jeżeli dzisiaj kadra naukowa i inżynierska Instytutu zgłasza propozycje współpracy z fabrykami, mówi o konieczności współpracy z innymi placówkami naukowo-technicznymi — świadczy to o jej stałych dążeniach do rozwoju i wykorzystania potencjału badawczego, konstrukcyjnego i projektowego.

Aż wierzyć się nie chce, że tenże Instytut — „sługa” bądź co bądź przemysłu włókienniczego, jest jeszcze niekiedy traktowany w fabrykach jak... intruz.

HALINA BATOROWICZ

CZŁOWIEK, KTÓRY STWORZYŁ ŻYCIE

Prof. Sol Spiegelman, członek Amerykańskiej Akademii Nauk, którego nazwisko związane jest ściśle ze słynnym uniwersytetem w Illinois, rozmawia z włoskim dziennikarzem Franco Bartarellim.

— Czy możemy uważać, że udało się Panu stworzyć żywą materię?

— Nie mogę dać jednoznacznej odpowiedzi — mówi prof. Spiegelman — uważając każde słowo — my biologowie odmiennie pojmujemy życie. Dla nas żywe jest to, co posiada zdolność reprodukcji siebie, ewolucji, to co ulega zmianom. Według tej definicji zawartość próbowki jest materią żywą.

Byłoby jednak szaleństwem żądać od nauki, by stworzyła żywy organizm, choćby tak prosty jak ameba. Nawet jednokomórkowy organizm jest nieskończenie bardziej skomplikowany, aniżeli forma o której mowa.

Chcemy znaleźć — ciągnie dalej profesor — prosty sposób na to, aby śledzić proces, który pasjonuje współczesną biologię. Jak to się dzieje?... dlaczego komórki mnożą się przekazując komórkom potomnym swoje własne cechy?... jakie mechanizmy są tego przyczyną?... I to jest właśnie tajemnica życia? Komórki, dając początek człowiekowi czy innej istocie żywej przekazują swoje cechy — zawsze te same — pokoleniom potomnym. Przedmiot badań który jest zarazem „informatorem” — to kwas rybonukleinowy RNA i dysyrybonukleinowy DNA. Obie te substancje zawiera każdy organizm i one właśnie sprawiają, że np. syn ma takie same niebieskie oczy co ojciec, lub też dziedziczy te same choroby. Organizmy bardziej złożone posiadają miliardy różnorodnych informacji, zawartych w „informatorach” o wymiarach mniejszych od mikrona. Szukałem metody, która pozwoliłaby śledzić te sprawy w komórkach żywych, zamkniętych w probówce. Materiałem doświadczalnym stał się wirus Q-Beta. Pamiętać trzeba, że pojedynczy wirus jest nie ruchomy. Ma on jeden łańcuch RNA, który daje informacje genetyczne — łańcuch RNA owija się wokół drobin białka. Wyodrębniłmy z wirusa element RNA — była to operacja niezwykle precyzyjna. W ten sposób otrzymaliśmy do dyspozycji mechanizm materii żywej zdolny powtarzać siebie w licznych „kopiach”. Kolejnym teraz zadaniem było wyhodowanie nowych pokoleń wirusa Q-Beta.

Po licznych próbach otrzymaliśmy jednostkę chemicznie czystą. To było już bardzo wiele, kosztowało trzy lata wytężonej pracy całego zespołu.

Najbliższym współpracownikiem profesora jest dr Ichiro Harun japoński mikrobiolog z uniwersytetu w Kioto.

— Otrzymamy w probówce enzym — substancja żywa zdolna przyspieszyć reakcje biologiczne — został zmieszany z solami magnezu i czterema innymi substancjami opartymi na tym samym RNA. I znów lata pracy, setki nieprzepiętych nocy, niezliczone próby... wreszcie sukces. W równych odstępach czasu pierwszy RNA powtarza siebie, tworzy „odbitki”. Otrzymane łańcuchy RNA — odziedziczyły wszystkie cechy chemiczne, fizyczne, biologiczne RNA wyodrębnionego z wirusa. Eksperyment wymagał sprawdzenia. Posłużono się całym szeregiem metod łącząc z analizą opartą o energię promieniowoczą.

Sprawdzenie dało wyniki pozytywne.

Ale wirus jest tylko w pewnym sensie żywy i dlatego tylko w pewnym sensie można mówić o życiu wyprodukowanym w probówce. Doniosłość eksperymentu polega na znalezieniu klucza, który przybliżył poznanie tajemnicy życia.

— Jest Pan dumny, profesorze, z dokonanego odkrycia?

— Dla mojej ekipy to naprawdę wiele, ale przed nami jeszcze dużo pracy. Ważne natomiast jest, że posługiwaliśmy się środkami niezwykle prostymi, nie ma tu nic z techniki 2000 roku!

(m.t.)



Józef Paćkalski. Ptaki. (Litografia).

spół technologów przygotowuje szablon na wszystkie wymiary i przenosimy się na Jaracza. Bo trzeba tu zaznaczyć, że na Jaracza znajduje się „większa część” Telimeny, opisane wyżej zespoły przygotowują modele do właściwej produkcji znalazły poświadczenie przy ul. Rewolucji 1905 r., gdzie znajdują trzecie piętro budynku, w którym gospodarzy „Azbest”. Na Jaracza znowu blisko. Na dużej sali, gdzie przykrawa się materiał według przystawionych szablonów trudno przejść między stołami. To samo na sali produkcyjnej, gdzie 6-osobowe zespoły szyją, prasują i wykańczają. Gotowe już wyroby oceniane są przez kontrolę techniczną i wędrują do magazynu, skąd rozsyłane na całą Polskę. W magazynie panuje idealny porządek, każda rzecz wisi na odznaczonym wieszaku, zapakowana w foliowy worek. Odzież podróżuje „na wieszaku”, wszystko po to, aby klient otrzymał towar w całości i niezmięty.

W „Telimenie” prawie nie się nie maruje. Resztki stanowią surowiec dla tzw. produkcji ubocznej i tu zaliczy się między innymi bluzki i śliczne kurteczki z ortolionu dla małych chłopców. Kurtki są naprawdę efektowne i niektóre mamy z przyjemnością ustroiłyby w nie swoich 15 i 16-letnich synów. Niestety, tak daleko produkcja uboczna nie sięga.

* * *

„Ależ, droga Pani, to tak samo jak z ciastem”...

(inż. Gruszczyk)

Inżynier Gruszczyk „od pianki” nie darowałby mi, gdybym nie napisała o laminatach. Bo nie wiem, czy wszystkim wiadomo, że od 3 lat, poza tradycyjną produkcją „Telimeny” zajmuje się także chemią związaną właśnie z laminowaniem tkanin dla całego przemysłu odzieżowego. Marjałęty z chemią nie jest zły, jakby nie było, laminaty to jeszcze duża przyszłość.

Gotowa pianka poliuretanowa w dużych

bryłach przysyłana jest z Rudy. Jak ją się robi? — Ależ droga pani, to tak samo jak z ciastem! Piekła pani kiedyś babkę? Tak? No to właśnie tak samo przebiega wyrób pianki. Leje się płynna substancja w duże ryny i to sobie rośnie, aż do postaci tych brył, które tu pani widzi. Widać było, że pianka i laminaty, to wielka pasja inż. Gruszczyka. — Teraz my tu obrabiamy; maszyny dziurawia je, kroją wzdłuż i w szer, przygotowując zależnie od przeznaczenia, warstwy różnej grubości. Tutaj znowu zahaczamy o produkcję uboczną. Z piankowych odpadków robi się rękawice do mycia, uszczelki do okien, grube materace i świetne, miękkie wykładanki na krzesła. Poduszeczki polecam szczególnie uważnie wszystkim skazującym na dłuższe wygniatanie ciała na niewygodnych krzesłach. Są bardzo wygodne i można je nabywać w sklepie „Telimeny” na Piotrkowskiej.

Laminowanie tkanin, to znaczy sklepanie cienkiej warstwy pianki z materiałem odbijającym się w specjalnym agregacie, a potem laminat, niby ser szwajcarski, dojrzewa (czyli wysycha) w osobnym pomieszczeniu, tyle tylko, że znacznie szybciej niż ser. No i potem z tkaniny laminowanej szyje się odzież.

* * *

W szesnastym wieku znaczniejsi kupcy zagraniczni założyli w Krakowie wielkie domy handlowe. Sklepy te cieszyły się olbrzymim powodzeniem i były stale przepełnione wiadomościami, które z odległych stron nawet przybywały po zakupy.

(Z pamiętników kardynała de Gaetano — 1596).

Dzisiaj, żeby zaopatrzyć się w suknię z „Telimeny” mieszkanka innego miasta nie musi przyjeżdżać do Łodzi. W szesnastym mieście Polski znajdują się sklepy pod patronatem „Telimeny” i bez trudu można się w nich zaopatrzyć w potrzebną odzież. Do-

starzane każdego miesiąca analizy ze sklepowych pozwalają zorientować się w życzeniach klientów. Nie wszystkie jednak żądania są realizowane. Dyrektor Ossowski jest bardzo szczerzy. — No bo proszę pani, nie można chyba poważnie traktować klientów reprezentujących powiedzmy 52 rozmiar i domagających się... spodni. My chcemy ubrać ko biętę nie tylko elegancko, ale przede wszystkim estetycznie. I czasem, niestety, my tylko o tej estetyce pamiętamy. Nie uszyjemy sukienki z dużej kraty dla tęszej pani, nie ubierzemy ją w jaskrawy, czerwony kolor, nigdy jeden fason nie jest sztyt we wszystkich rozmiarach, bo ta sama sukienka nie nadaje się dla każdej kobiety. Niektóre panie domagają się kudłaty futer z anilany, ale nie będziemy ich już produkować, nie zdały egzaminu i okazały się niepraktyczne. Widzi więc pani, że czasem musimy w pewien sposób wpływać na odbiorcę, czasem zmieniać jego gust. — Tyle „Telimena” o klientach.

A co mówią klientki o „Telimenie”? Na ogół są zadowolone, podobają im się sukienki i garsonki, których jest duży wybór. Trochę gorzej jest z płaszczami i kostiumami. Podszkuchałam panie Dyrektorkę w sklepie, klientki trochę narzekają: — „Za mały wybór płaszczy! Niektórym nie podoba się kolorystyka, za dużo ciemnych, szaroburzych odcieni! Za mało płaszczy na większe rozmiary! No cóż. Nikt, jeszcze wszystkim nie dogodził. To jest normalne. A ubierać kobiety — jak mówi dyr. Ossowski — strasznie trudno, bo jedna niezadowolona kobieta zrobi więcej hałasu niż dziesięć zadowolonych.

* * *

PS. Miłym pracownikom „Telimeny” za wszystkie informacje, za niezwykłą uprzejmość i uśmiech, za piankową rękawicę i trzy złote, skórą obciągnięte guziki — serdecznie dziękuję.



Fot. A. Dębowski

EWA OSTROWSKA

Przebudzenie

Meble wylazły powoli z rzednącego mroku. Paproć pod oknem zwiśla ciężka zielenią. Szafa ciemniała bryła w kacie pokoju.

— Jak trumna — pomyślała Jadwiga. Poruszyła palcami. Lubiała oglądać swoje ręce: w rozpraszającym się świetle wyglądały gładkie, białe i młode. Obłożone grubą warstwą miłosternego cienia — jakby maseczka kosmetyczna — gubiły reumatyczne zgrubienia stawów, a sine sznurki żył, kręcące się w kapryśnej delty po zewnętrznej stronie dłoni sprawiali wrażenie delikatnego retuszu.

— Masz piękne ręce — mówił Krzysztof. Zaciśkała wtedy wargi w wąski sznureczek. Po matce odziedziczyła ten wyraz stanowczości. — Kochanie! — dodawał Krzysztof. Zaciśkała wargi w bezsilnej złości, nie mogła poradzić przeciw jego czułościom, miał do nich i to niej zagwarantowane, małżeńskie prawo.

— Chciałbym, żeby nasze dziecko miało twoje ręce — dodawał jeszcze Krzysztof. Zanim otrzymał to swoje bezwzględne prawo, już płótno o dzieciach. Kochał dzieci.

— To był dobry człowiek — pomyślała Jadwiga. Podciągnęła koltre pod brodę. — Gdyby żył, byłibyśmy ze sobą szczęśliwi. Zaczynałam się powoli przyzwyczajać do niego, ale wojna przerwała nasze życie, zabrała mi go.

W momencie wybuchu wojny Krzysztof pracował przy wykopaliskach. Nie musiał pracować, miał spory majątek, lecz archeologia była jego hobby. Zginął zaraz w pierwszych dniach, przypadkowo, niepotrzebnie i głupio, podczas nalotu. Wiadomość o jego śmierci przyszła dopiero w trzy miesiące później; w bałaganie i panice zaden z jego kolegów nie pomyślał o zawiadomieniu rodziny. Ale dzięki temu Jadwiga przeżyła szereg wspaniałych dni; wie działa, że jej mąż zginie. Od początku swego małżeństwa czekała na coś, co je przerwie, jeżeli wypadek, choroba, opatrność nie chciały jej wyzwolić od Krzysztofa, teraz nareszcie musi uczynić to wojna. Musiał tak być — wierzyła. I wypogodziła, odzyskała spokój. Pocieszała babką, która załamywała ręce: Matko Bosko Częstochowska, ratuj! Trzeba szynki z solić, słoninę uwędzić, złoto zakopać!

Potem wojna weszła i do ich miasteczka. Ludzie szepotali o okrucieństwach, konspiracyjnie, na ucho, lecz właściwie wiele się nie zmieniło: posterunek polskiej przełęczy zandarmerii niemieckiej, trzech obywateli podpisało Volksliste, wywieziono kilkanaście rodzin żydowskich, rozstrzelano paru komunistów, lecz to nikogo specjalnie nie zdziwiło: co roku młodzież wybijała leśkami szczyby w peryferyjnych sklepikach żydowskich, a komunistów nikt nie żałował, babka nawet powiedziała: „Będzie mniej tego parszywego talatjstwa”.

Po trzech miesiącach nadszedł list. Pisany obyczajem charakterem pisma. Jadwiga wiedziała, co zawiera. Zemsta. Babka powiedziała: Widzisz, on zginął, a ty go tak skrzywdziłaś. — I w swojej łaskawości podarowała Jadwidze materiał na żałobę. Jadwidze było do twarzy w czarnym. Sprawiała sobie żałobny kapelusz z woalką. Stała przed lustrem. Pośliznęła brwi, żeby stały się ciemniejsze, przyczesła je grzebieniem w cieniułka kresczkę. Lekko, uroźowała policzki. Obracając przełożyła na lewą rękę. Podniosła prawą do góry, rozprostowywała palce. I zobaczyła w lustrze swój uśmiech.

— To nie moja wina — pomyślała Jadwiga — gdyby nie wojna, pokochałabym go.

W miesiąc jakiś obcy człowiek donosił z wyrazami współczucia, że Krzysztof zginął od serii karabinu maszynowego, zginął, bo nie zdążył schronić się do rowu.

— Wasz ojciec — powtarzała Jadwiga

córkom — pamiętajcie, zginął za ojczyznę śmiercią bohatera. Czciście jego pamięć, módlcie się za niego.

— Modliłam się za niego. Godzinami leżałam krzyżem. Czy to moja wina, że go nie kochałam? Kazali mi wyjść za niego. Zmusili. Był bogaty, za jego pieniądze babka chciała dobudować piętros. Nie zapylała mnie o zdanie. On też nie zapytał. Tak bardzo mnie kochał, że na myśl mu nie przyszło to proste pytanie. A trzeba się było spytać. Krzysztofie. Jednak on sądził, że biorąc mnie za żonę, daje mi jakieś wielkie, nieograniczone szczęście. Miał stary herb, nosił sygnet na palcu, palcu białym, pulchnym, miał też wille w Warszawie, samochód z szoferem, majątek na Podolu, żadna kobieta nie powiedziała mu, nie ośmieliła się, że jest odrażający mimo swego herbu, majątku, wili i samochodu z szoferem. Ja też tego nie powiedziałam. Miałam osiemnaście lat, kochałam innego, a miłość w tym wieku przybiera kształt idealny, moja miłość omtali białym welonem, zapakowali w skrzynie pełne koronkowej wyprawy. Zeszłam do bawialni, on powiedział: jaka śliczna! był spocyny, włosy przyklepiły mu się do czoła, pierś nabrzmiała jak kosmate pajaki, klekając przed ołtarzem odsunął suknie, aby nawet suknie go nie dotykać. Gdy zginął, — wlałam nareszcie wolną. Ale teraz myślę, czasami, że przyzwyczaiłabym się do niego. Jestem stara, potrzeba mi opieki, spokoju. Jestem chora, potrzeba mi dobrobytu. On zapewniłby mi dobrobyt. Nie musiałabym pracować.

— Bohater — opowiadała znajomym. — Bohater — pouczała córki. — Żona bohatera — mówiono o niej. Żalobny welon był z delikatnego tiulu, upięty wysoko, gładko przylegający do głowy kapelusz odsłaniał jej piękne, czyste zarzysowane czoło.

— Nie moja wina. — Jadwiga opuściła ręce: tak, z daleka wyglądała zupełnie znośnie. — To jej, Babki. Chciała mieć jednopiętrową willę, jak pani Brzeska, na parter jej starczyło, na piętro już nie, więc wydała mnie za Krzysztofa.

Usiadła, odmierzyła trzydzieści kropel cardiolu na kostkę cukru, przegryzła, skrzywiła się. — Wstętnie. Ale niedługo i to lekarstwo mnie zawiedzie. Ruina ze mną.

Schowała ręce pod koltre. — Zimno. W moim wieku zaczyna się odczuwać nieustanny chłód. Przedsmak śmierci.

Przymknęła oczy. Tyle razy wyobrażała sobie swoją śmierć.

— Poczekaj trochę, cierpliwość się opłaca — krzyczała do męża — przy moim stanie serca umrę szybko, ani się obejrzysz. — I bacznie przyglądała się mężowi: czy zdola go wzruszyć? Ale Józek odpowiadał zwykle wzruszeniem ramion: Jadzia, a daj ty mi święty spokój, nie tak łatwo się umiera.

Po kłótniach z mężem Jadwiga zamykała się w pokoju, poplakać w chusteczki i przypominając senzy z czytanych romansów. Marianna Alcoforado umarła z miłości do mężczyzny, Werter z miłości do kobiety, wielkie, romantyczne mity prze mawiały do niej z równą siłą jak melodramatyczna historia lady Chatharlay. — Gdybym umarła na jego oczach, to może zdołałabym wykrzesać z niego jakieś ludzkie uczucie. Tak pięknie kiedyś ludzie kochali, ja też kochałam, i co z tego? — Ty jesteś zwierzę, mówiła do męża — ciebie nie obchodzi poza jedzeniem, Ach, chcia labym już umrzeć.

Czasami wierzyła w to, że chce umrzeć. Rzuciła się na podłogę. Traciła oddech, język pociął w ustach, meble rozpoczynały wariacki taniec, pokój wirował, ona była jego osia, biła rękami o podłogę, rozkrwawiała palce, rwała na sobie ubranie. Potem zapadała w głęboką jamę i z jej wnętrza śledziła poruszające się, orzędmioty: dalekie, groteskowo pomniejszone, powyginiane w esy floresy, otaczały ją pałakowate ściany, przyplaszczone krwawą, Józek był balonem, babka czarna kukielką. Mogła bezkarnie przedrzeć się balona i kukielkę jak niegrzeszne, przekorne dziecko; czuła, że staje się coraz mniejsza, że ręce i ciało kurczą się, a głowa osiąga wielkość lebką szpilki — strach rzucał ją w nowy paroksyzm furii, czepliła się nie istniejących krawędzi cię istniejącej jamy, pragnęła wydostać się z jej miazdzącej wklęsłości — może to właśnie jest śmierć?

JEWGIENIJ WINOKUROW

RYTM

Szoferzy boją się samochodów.
Rytm rządzi światem.
Zrozumiałem to, kiedy
Zobaczyłem jak fryzjer
Ostrzył na rzemieniu brzytwę.
Świat jest nakreślony tak,
Jak nakreca się zegary,
Do końca.
Noc z konieczności
Zamienia się w dzień.
Na skrzyżowaniach ulic
Mrugają światła,
Księżyc kieruje przypływem
I odpływem oceanów.
Żyłeczka melodyjnie kręci się
W szklance portiera
Z muzeum kultury wschodu.
Mają swój rytm guziki kamizelki
Matka, wyjąwszy ciężką pierś,
Kołęsa dziecko.
Wszystko co żywe
Pulsuje jak gwiazdy...
Ale kto wie, co może
Przyjść człowiekowi do głowy?

EDUARDAS MEŽELAJTIS

CZYM JEST ZIEMIA

Ja nie wiem czym jest ziemia,
jeżeli ściany domu w którym mieszkam
mówią: byliśmy ziemią i kamieniem
półki ręce człowieka nie złączyły nas z wodą
każąc sobie służyć...

Ja nie wiem czym jest ziemia,
jeżeli jaskółcze gniazda nad oknami
mówią: byliśmy ziemią i gliną
a teraz dzioby ptaków przemienili nas.
Ja nie wiem czym jest ziemia,
jeżeli cegły podniesione dźwiękiem
mówią: byliśmy ziemią, glina, rudą,
a człowiek w ogniu nas skapał
i dał nam nowe życie.
Ja nie wiem czym jest ziemia,
jeżeli jabłko, które zrywam
mówi: jestem małą, okrągłą kulą ziemską;
tam pod glebą nikt nie mógł mnie dojrzeć,
ale kształt mój przyszedł
pień wyniósł na gałąź by kwitł i dojrzewał
i mówi drzewo: ja też jestem z ziemi,
rece mam do nieba wyciągnięte,
żeby stamtąd wam owoce podać!
Ja nie wiem czym jest ziemia,
jeżeli jabłko, które nadaję
długo podróżuje po moich żyłach,
abym mógł się poruszać...

Jeśli jabłko jest ziemią,
to czymże ja jestem?

TLUMACZYŁ: ROMAN GORZELSKI

Więc kiedy ból wracał — łagodniała. A potem zaczynała płakać, bo niepotrzebnym okazywał się jej cały wysiłek, strach i ból, wszystko było z powrotem to samo: twarz męża, ta twarz męża, zniecierpliwiona, zła, bez śladu współczucia.

Czasami postanawiała: Rzuć się pod tramwaj.

— Zabił mnie — myślała, przechodząc wolno, jak lunatycka, przez jezdnię. Tramwaj nadjeżdżał, motorniczy wydawał ostrzegawczy sygnał, nagi robili się jak z waly, w skroniach waliły szybko młoteckie strachu, potykając się przebiegała na drugą stronę ulicy. Była kiedyś świadkiem ulicznego wypadku — młoda dziewczyna wskakiwała do tramwaju, miała włosy spięte w koński ogon, opalone, muskularne nogi sportsmenki, sukienkę w błękitne pasdki. — Jadwiga zapamiętała, że dziewczyna biegła przez jezdnię sprężystym krokiem, sukienka na sztywnej balce okręcała się wokół niej jak furkoczący trzmiel, źle wymierzona, czy też poslizgnięła się na stopniu, lub może, jej koński ogon, który przy skoku zamigotał czerwienią wyrudziały włosów, przesłonił oczy — wpadła pod drugi wagon, tramwaj wiołki, wałkował ciało, chyba przez dziesięć metrów, ulica była w tym miejscu spadzista, ludzie krzyknęli. Jadwiga krzychała razem z nimi, krzyku dziewczyny nikt nie dosłyszał, ludzie biegli wzdłuż krawężników chodnika, tramwaj ewakuował ciało dziewczyny z długimi, opalonymi nogami, ciało materiał jej furkoczącej sukienki, błękitne pasdki migwały, rudy ogon włosów zamilkła, ludzie zamilkli, stłoczyli się głowa przy głowie. Jadwiga stała pośród nich, wykrecone pod kołami zwłoki przyjęły pozycję tak nienaturalną jak pozbawiony kości, wypatroszony kadłub kury przygotowanej do nadziania. Dlatego, ile razy Jadwiga myślała: przyniosła moje krwawe szczątki do domu — widziała w miejsce tamtej dziewczyny siebie i przeżywała jej śmierć, jakby swoją własną.

Coraz częściej zdarzało się, że byle szcegół doprowadzał ją do stanu całkowitej dezynnacji. Przyglądała się ludziom. — Tyle ich na ulicach, ulica jest wyniesioną ludźmi jak rybnie tarło, w którym tysiące mikroskopijnych łaleczek pęcznieje, drga wylukując się życiem, podobnie ludzie — przechodnie, pozbawieni nazwisk, adresów, a nawet i tego najistotniejszego wyróżnika — twarzy, bo nie sposób zapamiętać twarzy wszystkich mijanych; ludzie, mikroskopijne żyjątka, najbardziej sobie dalecy obojętni, niepoznani, chociaż każdy z nich, z tych przesuwających się jak w rzece kijanek ma swoje życie, swoje szczęście i tragedie, ja też jestem kijan-

ka, nikt o mnie nie wie, i nie będzie wie dział, za lat dwadzieścia, mój dobry Bóg wystarczy kilka miesięcy po śmierci, i żadnego śladu, że byłam — ja, Jadwiga, kobieta już pięćdziesięcioletnia, że miałam swoje życie, nikt nie wspomni o mnie ani słowem, o kwiatach się mówi, jaka szkoda, że zwiędły, że wiosną się tęskni, że słońcem, a człowiek przetrwała się przez ileś tam dziesiątków lat, i potem nagle koniec, a jeżeli miał dobre dzieci, to dzieci nie pomnik wystawia, pomnik według szablonu numer któryś tam, przybijają tabliczkę oznajmującą, że taki i taki żył lat tyle i tyle i umarł po długich lub krótkich, lecz zawsze ciężkich cierpieniach, i że jest cze prosi się dla niego o zdrowaśkę, jest cze mu będa życzyli na tej tabliczce, że by odpoczywał sobie w spokoju wiec nym, amen, jeszcze przez jakiś czas będą przychodzić, jeszcze mu świeczkę zapalą, świeczkę przy grobie omiotą, a potem więcej uschną, woda we flakonikach zgnije, napisy na wstęgach żałobnych spłowieją, nie odczytasz liter, krzyż pochylony, ziomia osunie pod ciężarem kamiennych płyt aż wreszcie, ile kogoś następnego będzie potrzebne miejsce, dzierżawa ziemi eme tarnej jak każda inna nie odnawiana tra ssekcja handlowa traci swoją moc prawną, „Zarząd Cmentarza Świętego Antoniego zawiadamia, że jeżeli po upływie lat dwudziestu pięciu dzierżawa za grób nie zostanie powtórnie uiszczona, grób zostanie zniwelowany” — więc rozkopią, przeleciują, zniwelują, i nic, nie, nawet na tabliczka z porządkiem wiecznego odpoczywania pójdzie na złom, bo z metalu i jak tu nie warlować? Do psychiatry idę powiada Józek. To on chyba jest nieon malny, niczego nie czując. Ale on też kiedys zaczął się bać.

— Histeryczka — mówił Józek — wmasz w siebie te swoje choroby, te nie szczęścia.

— Nie jestem histeryczka. Jestem ciężko chora — myślała Jadwiga.

Usiadła, nakapała ponownie trzydzieści kropel cardiolu. Józek jęknął przez sen.

— Józek, wstawaj — szarpnęła mężem.

— Czego, Jadzia?

— Wracaj do siebie.

— Co ty... daj pospać...

— Powiedziałam!

— Jadzia...

— Ale już!

— A żeby cię jasna cholera — powiedziała półgłosem Józek. — Nie dasz człowiekowi normalnie się wypaść.

*) Fragment powieści „Słońce prosto w twarz”, przygotowywanej dla Wyd. Łódzkiego



Fot. A. M. Kraus

MARIA
KORNATOWSKA

W SPORZE O „POPIOŁY”

Dawno nie się w naszym życiu kulturalnym nie działo, ale na szczęście Sandauer na pisał o Gombrowiczu, a jeszcze przedtem Wajda stworzył „Popioły”. Na pokłosie eseju Sandauera jeszcze trochę poczekamy, pocieszając się faktem, że tymczasem mamy godziwe zajęcia. Jedni czytają na gwałt Żeromskiego, inni szukają biografii księcia Józefa lub też innych bohaterów narodowych, a jeszcze inni studiują historię, słowem ruch w interesie jak rzadko. Tzw. łamy czasopism zapelniają się uczonymi enuncjacjami znakomitych polonistów i historyków tudzież rozmaitej maści krytyków filmowych oraz innych. Kto żył, kto ma oczy i ręce zdążył pisać o „Popiołach”. Niję podpisała, przeto by nie wpaść w kompleks prowincjonalnej niższości i drugorzędności włączyć się także w nurt dziejowych wydarzeń, skromnie wtrącając swoje trzy grosze.

Spór jaki powstał wokół filmowych „Popiołów” dowodzi już sam przez się znaczenia dzieła Wajdy. Coś w tym musi być, że się wszyscy tak za jadle kłócą i chwala Wajdę, że zrobił film zaslugujący na coś więcej niż kilka zdawkowych pochwał lub przytyków. Opinie dyskusantów są dosyć skrajne. Albo aprobują film i stawiają go w zachwycie, albo namietnie potępiają. Ta bania z namietnościami, która się nad nami rozbija jest zjawiskiem w polskim życiu filmowym nader rzadkim, zatem cennym.

Najwięcej kontrowersji wywołują niewątpliwie: problem interpretacji historycznej czy też historia Zofii Wajdy oraz poetyka reżysera, w której to poetyce elementy estetyczne dominują nad znaczeniowymi. Masę wątpliwości budzi również stosunek wersji filmowej do pierwowzoru literackiego. We wszystkich tych trzech sprawach przekonawo zabral głos na łamach „Kultury” Krzysztof T. Toeplitz. Pod jego uwagami można się w zasadzie, poza drobnymi zastrzeżeniami, z czystym sumieniem podpisać.

Ale w istocie reakcje na ten film są dosyć skomplikowane i obydwa przeciwne obozy mają po trochu racji. Ten film urzeka i irytuje jednocześnie. Urzeka urodą obrazów, malarstwie i epickim zarazem, dynamicznym rozmachem, znakomitą narracją poszczególnych epizodów, barwnością i bogactwem wizji artystycznej. I w „Lotnej” i w „Popiołach” Wajda (dzięki świetnym zdjęciom Jerzego Lipmana, notabene), potrafił jak nikt przed nim oddać na ekranie nastroj i specyficzne, melancholijne piękno włoskiego krajobrazu. Jesienią pejzaż w „Lotnej” miał w sobie coś fascynującego, stanowił liryczny poemat. Pełnił on nadto istotną rolę w poetyckiej i myślowej konstrukcji filmu. Dotyczy to również funkcji krajobrazu w „Popiołach”. Pejzaż nie jest tu tylko scenografią, urasta do osoby dramatu, a zarazem nabiera charakteru symbolicznego.

Urzeczenie „Popiołami” występuje także z faktu iż jest to prawdziwie narodowa epopeja, w przeciwieństwie do



„Kryzysów”, którzy czynili raczej wrażenie narodowej operki z nieustającym recitativem. Ten film jest potrojem narodowy, mówi bowiem o sprawach a raczej kompleksach bardzo polskich, opisanych przez bardzo polskiego pisarza i na ekran przeniesionych przez reżysera bardzo, ale to bardzo polskiego. I tu powiedzmy nieco o przyczynach irytacji. Wajda postąpił z Żeromskim i z tzw. prawdą historyczną o epoce po swojemu. Wybrał sobie to co najbardziej odpowiadało jego koncepcji. Los Polaków tragicznie zawiedzionych i oszukanych a nadto do zbrodniczych postępków przywiezionych przez złą historię i jeszcze gorszego Napoleona. Udział Polaków w wojnach napoleońskich przedstawił jako pasmo zbrodni oraz absurdu i niepotrzebnych wyzysków. Wynika to z przejrzyści z konstrukcji drugiej części filmu. Dominuje w niej za równo z uwagi na długość czasu ekranowego jak i na ekspresję stylistyczną epizod hiszpański. Na marginesie za uważamy, że Somosierra została w tym epizodzie całkowicie wyabstrahowana i zawieszona

w próżni dzięki zreczeniu zastosowanej retrospekcji. W Hiszpanii mamy wszystko — gwałt, mord, pożóg, wariacje itd. Całość utrzymana w stylu bunuelowskim a la polonaise. Przy tym epizod hiszpański nie służy wcale temu, czemu służył w powieści, ale wyłącznie ilustruje tezę Wajdy. Do tego dołączono, pozbawione jakiegokolwiek sensu 2 bitwy w Polsce — obie u Wajdy przegrane. O ile ktoś nie zna historii lub w najgorszym razie powieści Żeromskiego, to nie ma w ogóle pojęcia, o co w tych bitwach chodził. Polski heroizm i bezmyślność polityczna potępione tu zostają z istic polską beztroską o fakty, realia, racje i motywy. Racjonalny wywód ustępuje miejsca emocjonalnym i patetycznym uniesieniom. Jedne miły zastępują inne. Słowem jesteśmy w kraju. Waleczni bohaterowie „Popiołów” znacznie sprawniej władają szabłą niż umysłem. Żeromski pokazuje jednak ich rozwój myślowy, ich wewnętrzne konflikty. Wajda oszczędza nam tego. Eliminując pewne wątki i sytuacje pozabawia ich czynny racjonalnego uzasadnienia. To prawda, że nasza historia liczy więcej świetnych wodzów niż po lityków. Nasza literatura zna więcej wieszczów niż myślicieli. Nasza kinematografia zaś kontynuuje tradycje narodowe. „Popioły” są tego prze konyującym świadectwem. To w nich pociągą i irytują. Mamy jednak prawo domagać się od Wajdy, by w większym mierze posługiwał się intelektem niż uczuciem.

Niestety hasło wieszczę: „czucie i wiara silniej mówią do mnie niż miedra szkiełko i oko” patroluje jeszcze wielu naszym poczytnym. Kon cepcje Wajdy wiernie odzwier ciedlają nasz sposób myślenia i dyskusowania o wielu sprawach, zwłaszcza polskich, nasz pełen przewrotności masochizm narodowy. A może „Po pioły” będą kamieniem grobowym zamykającym jakąś epokę w historii polskiego my ślenia?

Nie chcę się rozwodzić nad stylem Wajdy i jego inklinacją do efektów samych w sobie, bo pisało o tym szeroko i nie jest to wcale takie proste. Pragnę tylko podkreślić, że poetyka reżysera, pełna bunuelowskich efektów i symboli, które nie nie znaczą (co mu słusznie wyrzucali KTT) jest bardzo funkcjonalna. Intensywność emocjonalnego oddziaływania kompensuje braki intelektualne. Stanowi naj ważniejszy środek argumentacji. Otoks znowu w kręgu na rodowych tradycji — do dziś toczą się spory o znaczenie magicznej cyfry czterdzieści i cztery.

Wielu krytyków boleje nad tym, że film mimo całej swej emocjonalności i ekspresyw-

ności pozostaje zimny i nie wzrusza publiczności.

Wypływa to w pewnej mierze z niewłaściwego ukształtowania postaci głównych bohaterów i fatalnej obsady aktorskiej. Epika, a zwłaszcza epika ekranowa, wymaga peł nowymiarowej postaci bohatera angażującego uczuciowo widza. Postać ekranowa istnieje bowiem i oddziałuje w inny sposób niż literacka. Epicki bohater filmowy wymaga więc specjalnych zabiegów i w fazie scenariuszowej i w fazie realizacji. Wymaga też przemyślanego doboru aktorów. Zrozumieli to Amerykanie kiedy w swojej „Wojnie i pokoju” zmienili nieco wewnętrzna i zewnętrzną sylwetkę Bezułowa i wybrali do tej roli tego typu i takiej popularności aktora co Henry Fonda. Niestety, filmowy Rafał mimo poprawnej gry Olbrychowskiego jest nijaki. Cały urok tej postaci zagubił się w filmie bezpowrotnie. A co gorsza, zagubili się gdzieś, częściowo na skutek epizodycznej konstrukcji filmu, jednolitość i rozwój psychologiczny bohatera. Przeży cia określające Rafała są właściwie tylko sygnalizowane — np. miłość do Heleny, udział w wojnie. Jeszcze gorzej ma się sprawa z Cedra, który właściwie jako osobowość nie istnieje a ponadto jest zły aktorsko. Gintult pozostaje dla widza nieznajome go księcia postacią kompletnie niezrozumiałą. Filmowym „Popiołom” zabrakło bohatera. Balet ludzi i koni przysłonił najbardziej dla widza pasjonujące dramaty jednostkowe. Te uwagi nie dają się zakończyć jakąś jednoznaczną opinią. Bo mimo wszelkie wymienione tu i gdzie indziej wady „Popioły” są dużym osiągnięciem naszej kinematy-



grafii. I to nie tylko produkcyjnym. Zmuszają do zajęcia stanowiska. Do zastanowienia się nad charakterem naszej tradycji, świadomości narodowej, kultury i literatury. Bo wszystko co w filmie Wajdy jest i dobre (abstrahu jąc od talentu reżysera) wzię ło się z tej tradycji, kultury i dziedzictwa artystycznego. A poza tym niezależnie od kompleksów reżysera i śla bości scenariusza, to jest film fascynujący, pięknie zrobiony, świetnie opowiedziany. Auten tyczne kino!

KRONIKA Anty telewizyjna

I JAK TU WYMAGAC?!

Warszawski felietonista „Ży cia Literackiego” przypomina telewizjom:

Od lat słyszy się o niedostatkach w budzie telewizji, ostatnio znowu kilku działom obieciło skromne datki na program. Wyrzeka się w War szawie na jakość audycji pu blicystycznych; ale żebyście Państwo wiedzieli, w jakich warunkach one powstają! Za mało operatorów, za mało kamer, wszystko czasem przy dokrętkach filmowych zale ży od humoru dyspozytora w telewizyjnym zakładzie produkcji, czemu i trudno się dziwić. Salomon z tego gmachu pojechałby do Czub ków... Co się tyczy zaś sta wek, żaden szanujący się człowiek prasy, chyba, że czuły na reklamę, nie weźmie się za jedzenie tej żaby, więc i na rotacje publicys tycznych gwiazd nie ma co liczyć; skoro tam dla „swo ich” nie starcza!

Rzeczywiście, jak w ta kiej sytuacji ma się zachować sprawozdawca: pamię tać o warunkach, czy jedynie o audiowizualnych efektach? Jakże przyczyny złożyły się na to, że w tym samym nu merze „Życia” znajdujemy taką otę budę o rosyjskim humorystycznym awercenke:

„...Awerczenko opuścił Ro sję jeszcze przed pierwszą wojną światową i nigdy już nie wrócił do kraju...”

A któż to jak nie Arka diusz Awerczenko jeszcze w 1918 roku redagował w Pe tersburgu „Nowego Satyri konu”? I oto nie wiemy czy od redaktorów wolno wyma gać rzetelności: może im tak że obieciło stawki, może któ regoś z nich zdradziła żona, a może, zanim zaczęli opra cowywać kronikę, tego popi li?

Co wpłynęło na to, że tego samego tygodnia taką otę re welację znalazłem w sympatycznej lubelskiej „Kamienie”: „(poeta)... wzorów pragnie szukać i szuka w poezji współczesnej, dlatego też w jego dorobku, obok utworów pisanych regularnym wierszem, spotykamy i pozycje zupełnie nowoczesne...” Teraz, proszę Państwa,

wszystko już jest jasne: co pisa ne wierszem regularnym to na pewno nie nowoczes ne! Chciałem tę rewelację wysłać, ale poczułem się skrepowany: może jej autor miał, dajmy na to, trudne dzieciństwo?

A więc trzeba postępować ostrożnie, brać pod uwagę rozmaite okoliczności.

Nie podobała mi się „Ma ria Stuart”, nie nadano pełnej nośności wspaniałej fra zje poetyckiej Słowackiego, pani Aleksandra Śląska w gorszych momentach przypo minała raczej bohaterkę z Mniszkówny. Ale może to ja nie byłem wewnętrznie przy gotowany do odbioru dzieła? Może w ub. tygodniu, ze względu na kilka doznanych przykrości, szukałem tylko rozrywki i dlatego byłem za dowolony z „Nocy na rozdro żu”, wystawionej przez Teatr „Kobry”? Te „Noc” ładnie zagrano, należy się wszyst kiemu wykonawcom z p. Ewą Krasnodebską na czele ser deczne podziękowanie. Może także dlatego z przyjemno ścią słuchałem czystego głosu p. Marty Rafael, śpiewającej czardasze i arie operetkowe?

Bo ja wiem... Obejrzelismy trzech z kolei odcinek „Wojny domowej” M. Zientarowej i J. Gruzycy. Znajomość tych felietonów, a raczej ich bohaterów z „Prze kroju” usposobia przychylnie dla cyklu filmowego. Zna mi aktorzy, celność obserwacji (nie sygnalizującej zresztą poważniejszych spraw), dowcip, sprawność, że się nile to odcinki widzi. Realizatorzy nie wyszli poza felieton, ani jeden z trzech odcinków nie miał wyraźnego zarysu noweli filmowej, czy choćby nowelekt. Czy to ma być za rzut? Bo ja wiem... Zonie przypomnieli się wywiadów ki, wybuchami śmiechu po twierdzała autentyzm „Wy wiadówki” filmowej.

Zezłościłem się, gdy w te leturnieju „48 lat Październi ka” najwięcej bodajże trud ności nastroczył uczestnikom życiorys jednego z kilku naj popularniejszych poetów ro syjskich, Sergiusza Jesieni na, długo nie mogli odgadnąć o kogo chodzi choć to na ten rok przypada w dodatku siedemdziesiąta rocznica jego urodzin. Może jest w tym i jakaś wina prasy codziennej, która rzadko kiedy dotyka wiersze. A może to właśnie „politechnizacja” załamała wian? Pomimo niezliczonych konkursów recytatorskich i konkursów na wiersze...

Jan Huszar

EWA SIEMIŃSKA

Czy brak odpowiedzialności?

„Krytyk powinien mieć entuzjazm i pokorę. Ale zwykle ma hemoroidy”.

ARTUR MARYA
SWINARSKI

— Najwięcej jest u nas „le karz” — mówiło się dawniej w Polsce. I nie bez pewnej dozy racji. Ale czasy się zmieniają, a wraz z nimi i ludzie. Dziś kto żył, „zna się” u nas na sztuce. Zna to za mało — czuje się upraw niony do wydawania „auto rytarywnych” sądów i ocen, które z im większą wypły wają niewiedzy, nieznajomości przedmiotu, tym pewniej, tym bardziej arbitralnie są wygłaszane. Zaciekle w wy powiadaniu tych sądów wzra sta z zaślepieniem ich auto rów.

Jest jeszcze inna kategoria konsumentów sztuki. To ci, którzy posiadają szeroką i ugruntowaną wiedzę o niej lub jednej z jej dziedzin, nie potrafia wyzbyć się uprze dzeń w stosunku do jakiejś gałęzi sztuki lub pewnych jej kierunków, ci, których nie zawnę stać na krytycyzm i obiektywizm. Mimo swej wiedzy w stosunku do niektó rych problemów nie umieją

uwolnić się od zaślepienia, są rzecznikami ciasno pojętej tradycji.

Jeśli mimo to w obrębie teorii dawnych, tradycyjnych dziedzin sztuki panuje wglę dny ład i poczucie pewności płynące z historii liczonej na wieki całe, to w wypadku sztuk młodych (lub — jak chcą purytanie — nowych środków przekazu) balagan ogarniający teorie, przypad kowość sądów i ludzi, którzy je wydają, przybiera rozmia ry zastraszające. Mówiący „teorie” mam na myśli nie tyle naukę, co — w tym wy padku — krytykę. Nieszczę ściem, istnym przekleństwem filmu i telewizji jest poja wienie się całej armii krytyków-dyletantów, którzy oprócz sprytu oraz łatwości wysta wiania się połączonej z ogólnym „otrząskaniem” plynącym czasem z kontaktów ze sferą twórców lub dziennika rzy — nie mają tym dziedzi nom nic do zaoferowania. Ich twórczość staje się albo poszerzoną, „ukrytykowaną” reklamą, albo grzecznym powtarzaniem sądów za jakimś autorytetem. Najgorzej na tym wychodzi publiczność, która karmiona takim recen zentem menu, traci do kry tyki zaufanie, oskarża ją bądź o kupieckie zachwalanie „to waru” dużego lub małego

ekranu, bądź o wymądrzanie strawne może dla elity intelektualnej, ale nieprzydatne dla przeciętnego widza. Aby zdobyć czytelników i pozys kać zespoły redakcyjne pism, krytycy zaczynają więc „ko kietować” jednych i drugich, starają się schlebiać różnym gustom, modom i zapotrzebo waniom. Od czasu do czasu silą się na oryginalność sfor mułowań. Tracą absolutnie wrażliwość na samo dzieło, nie potrafią go naprawdę przeżyć, stają się nudni i schematyczni, ich recenzjom brak odrobiny świeżości — są do siebie bliźniaczo podobne i mało mówiące. Nieufność widzów-czytelników wzrasta. Błędne koło zamyka się.

Nie pierwszy raz ogarnia mnie tego rodzaju refleksje. Tym razem bezpośrednią ich przyczyną stały się rozpoczę te niedawno Dni Filmu Rad zieckiego. Z okazji tej wlas nie imprezy poczułem się, jak gdybym przebywała między głuchymi-słепymi. Głusi — to krytycy. Słепi — nasi widzo wie kinowi. Nasza kadra reценzencka uparcie zamyka bowiem uszy dla pewnych sądów zakorzenionych w wie lu widzów, zaś powstawanie tych ocen niesposób wytłu maczyć czym innym, jak kompletnym zaślepieniem lub raczej nieznajomością zjawisk zachodzących w filmie rad zieckim.

A oto bezpośrednie powody mojej irytacji.

W drugiej połowie październi ka słyszałem narzekania, że mało nowości, że nie bardzo jest co obejrzeć (oczywiście — jeśli się było już na „Popio łach”). Nie protestuję.

— Ale w listopadzie, jak zaczyna się Dni Filmu Radzie ckiego, zupełnie już nie będzie na co pójść do kina — doda wano.

— Dlaczego? — z głupia frant pytałam.

— Takie to wszystko nudne — odpowiadało.

Ci, którzy to mówili, nie mieli bynajmniej możliwości wcześniejszego obejrzenia o wych krytykowanych na wy rost filmów. Skąd więc ta de magogia? Jakim prawem ludz ie ci przybierają rolę wszystkichwiedzącego proroka? Jak można wyrokować cokol wiek o dziele sztuki, dopóki się go nie zobaczy, dopóki się go nie usłyszy, nie zrozumie?

— Niedobre — słyszę i te raz, kiedy radzieckie filmy weszły już na ekrany. Ale kto to mówi? Ci, którzy nie byli ani na jednym z nich, i chyba nie wybiorą się i później na żaden. To samo mówią zresztą o filmie we gierskim, rumuńskim, bulgar skim, czeskim. Pójdą na byle bzdure ekranową made in USA lub inne. Tu — nie po fatygują się, ale krytykować będą, i to z jaką niewzruszo ną pewnością!

— To nie chala — proszę widzów — to brak odpowie dzialności! Widziałam wcześ niej kilka najnowszych fil mów radzieckich na pokazach prasowych. Daję słowo: nie było wśród nich ani jednej chały. Nie było też co praw da arcydzieł pretendujących do trwałej pozycji w historii filmu, ale nie znaczy to, że pokaza no nam dzieła słabe, niedobre. Są ambitne, ale nie pretensjonalne. Są zaangażo wane ideowo, ale nie schema tyczne. Związane są z szaro ścią, codziennością zwykłego życia, a jeśli dotyczą wyda rzeń niezwykłych, specyficz nych pod względem historycz nym, to obracają się wokół prostych, przeciętnych ludzi. Nie żadnych gwiazdorów i gwiazd, spreparowanych na

skończone piękności. Najbar dziej pasjonujące jest w ra dzieckim filmie to właśnie, że pokazuje się nam zwykłych, przeciętnych ludzi, jakich możemy spotkać w pracy, w domu, na ulicy. Że przedsta wia nam się tych ludzi bez sztuczności, bez zakłamania. Bohaterowie radzieckich fil mów są głęboko ludzcy, szcze rzy, otwarci. Filmy i ich po staci pełne są jakiejś świeżo ści, wrażliwości dla co dziennych spraw i uczuć, dla rzeczy małych. Kto nie umie dostrzec rzeczy małej, nie dojrzy także prawdziwej wiel kości. Bohaterom radzieckich filmów nie grozi to. Są jak i w życiu: czasem patetyczni, czasem małostkowi, to scep tyczni, to prostoduszni. Goto wa jestem pisać hymny po chwalne na cześć ich akto rów filmowych. Cóż to za pa rada doskonałych typów zna komicie odtworzonych w fil mach przez plejadę wykonaw ców. Nie tylko w głównych rolach. Nawet w najmniej szych epizodach. Film radzie cki potrafi świetnie inscenizo wać sytuację „chwytane na gorąco”. Wiadomo, że o nie czasem najtrudniej. Film ra dziecki jest odważny. Potra fi bez uprzedzeń, po ludzku spojrzeć w przeszłość („Obca krew”), „Ojciec żołnierza”, prowadzić rozrachunek z błę dami nie tak dawno minione go okresu („Człowiek z prze szłością”), dyskutować o współczesności, o związa nych z nią problemach moralnych („Był sobie dziad i baba”, „Na tropach zbrodni”). Film radziecki pokazuje nam świat taki, jakim jest. Nie ogląda się go ani przez czarne, ani przez różowe okulary. Świat, w którym jest miejsce i na dobro, i na zło. Ale przede wszystkim jest w nim miej sce na nadzieję — to najbar dziej ludzkie z wszystkich u czuć człowieka. Bez niej —

nie oklamujemy się — życie nie byłoby możliwe. Trze ci te przekazuje się nam czasem w atrakcyjnej formie filmu sen sacyjnego („Na tropach zbro dni”), „Człowiek z przeszło ścią”, co jeszcze raz dowo dzi, że nie ma gatunków gor szych i lepszych. Są tylko udane lub niedobre filmy w obrębie danego gatunku. Na te drugie nie traflam jednak wśród wymienionych tytułów.

Skąd więc głosy, że chala? — To chyba wynik uprzedzeń zakorzenionych jeszcze daw no temu, kiedy w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych o bowiadywał w całej kinema tografii socjalistycznej ten sam straszliwy schemat pod dyktowany przez tzw. realizm socjalistyczny. Widzieliśmy wtedy tak wiele złych filmów, że część widzów nabawiła się chyba urazu. Ale doprawdy, czas się już z niego wyle czyć! Odtąd zdolała się już prze ciw nie tylko rozwinąć, ale i skończyć tzw. szkoła polska. Ile ciekawych zjawisk zachodzi w filmie czeskim. A film radziecki? Wydał prze ciw „Leśca żurawie”, „Los człowieka”, „Balladę o żoł nierzu”, „Czyste niebo” i „Dziewięć dni jednego roku”!

Zakończenie moich refleksji zabrzmi może jak marny dowcip, ale zdarzenie miało miejsce naprawdę. Wspomnia łem znajomemu, że zamie rzam pisać o filmie radziec kim.

— Tylko nie „zjedź” za bardzo — ostrzegł mnie dobro tliwie.

— Ależ nie, ja zamierzam chwalić! — Popatrzył na mnie zdumiony. I wtedy właśnie wyjątkowo dotkliwie odczu łem zamknięcie naszego błę dnego koła. A może by się tak „wychylić”? Spróbujmy je przełamać. Najwyższy czas. Trzeba i warto. W sztuce nie wolno mieć uprzedzeń.

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

ROZMOWA Z ANNA ACHMATOWĄ

W udzielonym niemieckiemu dziennikarzowi wywiadzie Anna Achmatowa zwierzyła się, że pracuje obecnie nad utworem dramatycznym, który będzie nosił tytuł „Prolog, czyli sen we śnie”. Będzie to trylogia, której środkowa część otrzyma formę wierszowaną. Mówiąc o tłumaczeniach na obce języki Achmatowa wyraziła pogląd, że niemieckie tłumaczenia jej wierszy najlepiej odtwarzają ducha

wi. British Broadcasting Corporation zamierza wystawić tę sztukę w przyszłym roku, gdy tylko znajdzie odpowiedniego aktora. Bowiem wykonawca roli niemiej postaci staje przed niezmierzonym trudnym zadaniem i musi rozporządzić najwyższymi środkami wyrazu oraz zdobyć się na intensywność przeżyć. Sztuka nosi tytuł „Ech, Joe?” i wykazuje (jak większość sztuk Becketta) bezwzględnie sytuację człowieka, izolowanego od otaczającego go świata. W czasie spektaklu słychać tylko jeden kobiecy głos, nagrany na taśmie magnetofonowej. Po „Czekając na Godota”, w którym wystąpiło pięć osób, po „Koncercie” (cztery osoby) i po wystawionych na Małej Scenie Teatru Nowego „Radosnych dniach” (dwie osoby) ze znakomitą Bogdaną Majdą i Mincem, otrzymaliśmy więc teraz jednoosobową sztukę Becketta. BBC określa sztukę „Ech, Joe?” jako niezwykle spektakularny spośród tych, które kiedykolwiek były nadawane przez telewizję.

ORATORIUM O OŚWIECENIU

Znanego pisarza niemieckiego Petera Weissa, mieszkającego w Szwajcarii, oratorium o Oświeceniu w dziewięciu pieśniach pod tytułem „Dochodzenie” („Die Ermittlung”) jest wystawiane jednocześnie na trzynastu scenach Niemieckiej Republiki Demokratycznej i Niemieckiej Republiki Federalnej, a między innymi w obu częściach Berlina, w Essen, w Kolonii, w Monachium. Zarazem odbywa się publiczna lektura utworu we wschodniobermberskiej Akademii Sztuk. Stacje radiowe NRD i NFR emitują we wspólnych programach tekst Weissa, wreszcie telewizja NRD zamieszcza oratorium w swoim programie. Przedmiotem akcji dzieła jest dochodzenie, a raczej przewód sądowy przeciwko ludobójcom, rozgrywający się na deskach scenicznych. Ośmiennastu oskarżonych. Dziesięciu bezimiennych świadków przemawiających w imieniu wszystkich świadków na świecie. Jeden sędzia. Jeden obrońca. Jeden oskarżyciel. Fakty rze-

rosyjskiej poezji. Gdy dziennikarz niemiecki po wywiadzie prosił o tłumaczenie mu tłumaczkę o przekład wiersza, który otrzymał od Anny Achmatowej, tłumaczka odmówiła mówiąc, że to niemożliwe, gdyż wiersz ten jest najczystsza muzyka starej Rosji i nie da się przelożyć na żaden język. Przypominamy, że wielka poetka (prawdziwe nazwisko: Anna Gorenko) urodziła się w 1899 roku. Uważana jest za największego lirika rosyjskiego. W Polsce ukazały się po wojnie jej poezje w wydawnictwie PIW (1964) w tłumaczeniu Seweryna Pollaka, Pawła Hertz, Włodzimierza Słobodnika, Anny Kamińskiej. Anatola Stern, Wiktora Woroszyńskiego i in.

NOWA SZTUKA BECKETTA

Samuel Beckett napisał specjalnie dla telewizji sztukę, w której występuje tylko jedna osoba, która nie może

z każdym swym pobytom na Kubie. Piłamy razem kawę i opowiadaliśmy sobie historie. Powiedział mi, że napisze o mnie nowelę, i dotrzyma słowa. Jednak wola po pisarzu, Mary Hemingway, zaprzeczyła, aby Hernandez był prototypem starego człowieka. Pisarz go wprowadził, lecz pisał swe opowiadanie nie mając indywidualnie oznaczonego wzoru bohatera.

KULT EDYTY PIAF

Francuzi potrafią kultywować pamięć swych wielkich artystów. Warto się od nich uczyć tej rzadkiej cnoty. Edyta Piaf, wielka sławna piosenkarzka francuska, cieszy się po dziś dzień, w parę lat po śmierci, niewygasłą sławą w swym kraju. A oto, jak dzięki przypadkowi (ale na tle poszanowania tradycji i pamięci dla dzieł wielkich twórców) powstało Muzeum Piosenki Francuskiej, związane nierozłącznie z nazwiskiem Edyty Piaf. Sprawozdawca paryskiego tygodnika literackiego „Les Lettres Francaises” rozmawiał w biurze znanego muzeum „Olympia” z jednym z dyrektorów. Uwagę jego zwróciła leżąca na kominku nieforemna, nie opakowana paczka. To kostium, w którym występowała po raz ostatni i który zostawiła w garderobie Edyta Piaf, powiedział dyrektor. Spr-



ficzne i dźwiękowe, lecz również wizualne. W paryżu powstanie w 1966 roku nowe Muzeum Piosenki Francuskiej.

BARON D'HOLBACH

Nekładem „Editions Buchet-Chastel” w Paryżu ukazała się niebawem pierwsza antologia materialistów („Materialistes francais”) zawierająca teksty od roku 1750 do 1800. Baron d'Holbach (1723-1789) był jednym z nich; przyczynił się on bardzo do rozpowszechnienia idei przewrotnych materializmu klasycznego. Jako człowiek bogaty i ustojunkowany, i jako przyjaciel Diderota, użył swego majątku i swych wpływów do walki z doktrynami, wyrażającymi na gruncie przesądów religijnych i arystokratycznych. Naturalnie, nie można odczytywać tekstów d'Holbacha bez świadomości perspektywy historycznej. Dzieło d'Holbacha nabiera pełni sensu i znaczenia, gdy się pamięta o mieszczaństwie francuskim, które w poszukiwaniu nowych wartości wyrwało władzę z rąk uprzywilejowanej szlachty i arystokracji. Antologia materialistów francuskich będzie zawierała mało znane teksty Diderota, d'Holbacha, Helvetiusa, Sylwain Marchala, Cabanisa, markiza de Sade i około dwunastu innych materialistów, często już zapomnianych, jak Dom Deschamps, benedyktyn, ateista i komunista, którego manuskrypty zostały opublikowane po raz pierwszy.

DRUGI „PAMIETNIK ŻYCIA WEWNĘTRZNEGO”

Pierwszy „Pamiętnik życia wewnętrznego” Francois Mauriac został już przetłumaczony na polski i ukazał się nakładem „Paxu”. Z okazji osiemnastolecia urodzin znakomitego pisarza odbyły się w jego rodzinnym mieście Bordeaux uroczystości, w czasie których mieszkańcy tego miasta złożyli hołd swemu sławnemu rodakowi. W najbliższych dniach ukaze się z tego powodu nakładem Wydawnictwa Flammariion „Nowy pamiętnik życia wewnętrznego”. Krytyka jeszcze przed ukazaniem się „Nowego pamiętnika” pochwalała mu dużo miejsca na łamach pism literackich, przypominając, że głównymi motywami przewodnimi pierwszego „Pamiętnika” były: Bóg, strach i śmierć.

PAMIETNIK MŁODEGO FLAUBERTA

Gustave Flaubert już od siedemnastego roku życia prowadził notatnik, w którym zapisywał swe refleksje i spostrzeżenia. Ten cenny manuskrypt został niedawno odnaleziony. Flaubert prowadził swój pamiętnik do dziewiętnastego roku życia. A oto, parę wyjątków z notatnika: „Gdy się pisze, czuje się, że powinno być, rozumie się, że w tym miejscu potrzebne jest to, a w tym - tamto, tworzy się obrazy, które się widzi, i odnosi się wrażenie, że wszystko to rozkwitnie - czuje się w sercu jakby dalekie echo wszystkich namietności, które się pragnie wyrazić - i otyło bezsilność wypowiedzenia tego wszystkiego jest



POLOINICA

ROZEWICZ PO UKRAIŃSKU

Ukazujący się w Kijowie miesięcznik literacki „Wseswit” (Świat), który wiele miejsca poświęca nowościom literatury zagranicznej, w październikowym numerze zamieszcza olbrzymi wybór składający się z dwudziestu pięciu wierszy naszego znakomitego poety Tadeusza Różewicza. Jest to, jak głosi tytuł umieszczony nad zdjęciem i obszerną biografią autora „Poezja różnych lat”. Opublikowane we „Wseswicie” utwory pochodzą z dwunastu tomików poetyckich Różewicza. Autorem przekładów są: Leonid Czerewalenko, Mykola Synhajiwskij, Witalij Korotycz oraz popularny ukraiński tłumacz literatury słowiańskiej i zachodnioeuropejskiej (przełożył m. in. wiele wierszy Juliana Tuwima) - Hryhorij Koczur.

(rg)

POLAK PISZĄCY PO ANGIELSKU

Znany przed 1939 rokiem w Polsce poeta Jerzy Pietrkiewicz, który po wybuchu wojny znalazł się w Anglii i osiadł tam na stałe, od szeregu już lat pisze powieści w języku angielskim, które krytyka i opinia brytyjska przyjmują z dużą życzliwością. Ostatnio Jerzy Pietrkiewicz (w tym brzmieniu jego nazwisko łatwiej wymówić Anglikom) ogłosił nowy utwór pt. „That Angel burning at my left side” (Anioł płonie po mojej lewej stronie). Bohaterem powieści jest Wiktor, sie rola, a terenem akcji Polska i Rumunia z lat wojny, gdzie Wiktor znajduje wciąż „opiekunów aniołów” w postaci kochających się w nim kobiet. Choć książkę czyta się lekko posiada ona - zdaniem krytyki - głębsze wartości literackie i artystyczne.

SPRAWY POLSKIE W USA

Jak podaje wychodzący w Detroit „Głos Ludowy” w swoim 34 numerze - w USA zmniejsza aktorka filmowa i teatralna Judy Holiday. Zmarła występowała niemalże na wszystkich estradach Stanów Zjednoczonych i brała udział w wielu filmach. Ciekawym szczegółem dla nas jest fakt, że była ona stryjeczną siostrą naszego wielkiego poety Juliana Tuwima. Poeta, żywiący szczególne uczucia do swych bliskich, spotykał ją często w czasie swojego pobytu w Ameryce. Spotkania odbywały się w Nowym Jorku. Zmarła aktorka głęboko ceniła talent poetyckiego swojego brata. Ta sama gazeta przynosi wiadomość o rocznicowym filmowym, na którym wyświetlone zostaną dwa filmy J. Skolimowskiego „Walkower” i „Rysopis”.

(ej)

O KŁOSKOWSKIEJ W CZECHACH

Wychodzący w Pradze miesięcznik „Plamen” (nr 10, 1965) drukuje artykuł pt. „Masowa kultura”, poświęcony w całości książce Antoniny Kłosowskiej „Kultura masowa - krytyka i obrona”, która ukazała się w Warszawie w ubiegłym roku. Autor artykułu referuje szczegółowo problematykę książki i stwierdza, że taka praca bardzo potrzebna byłaby w Czechach, gdzie wiele dyskutuje się o problemie kultury masowej, ale nie zawsze dostatecznie kompetentnie. „Odgłosy” drukowały w swoim czasie recenzję o „Kulturze masowej” Antoniny Kłosowskiej. Cieszymy się, że praca ta zdobywa sobie uznanie również za granicą.

POLOINICA

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Za rzadko chodzimy do muzeum. Osobiście polecam Muzeum Sztuki, gdzie widać jak na dłoni, jakie przemiany dokonywały się w tym, co nam już się „przestało podobać”, „podoba” i „jeszcze się nie zaczęło podobać”. Najłatwiej prześledzić tę ewolucję (czasami rewolucję lub regres) na plastyce. Zbiory, ich dobór, zestaw i ekspozycja, podlegają wiedzy, smakowi, a czasami intuicji artystycznej ich głównego opiekuna i selekcjonera, którym jest dyrektor muzeum. Muzeum Sztuki jest jedną z dróg, która wiedzę nas retrospektywnie przez czasy, style i konwencje; upadki i wznioły ludzkiego wysiłku i myśli twórczej. Po śmierci dwuletniego dyrektora Muzeum Sztuki, doc. dr Mariana Miłucha - stanowisko to obejmie Ryszard Stanisławski, krytyk i historyk sztuki z Warszawy. Dobrze, jeżeli stare łódzkie tradycje popierania sztuki nowoczesnej znajdą kontynuację. Wszystkiego najlepszego i do zobaczenia.

WTOREK

Dworzec jest bramą miasta. Wiemy z doświadczenia, że pierwsze wrażenia z nowo poznanej miejscowości dworzec i jego przedpole. Dworzec jest twarzą miasta; zwiastując dalsze okolice nie odczuwamy tak ostro pewnych niedostatków, gdy „urok twarzą” oczaruje oczy. „Dworzec Fabryczny” zmienia oblicze. Jak się dowiadujemy, to raczej ulegnie pewnym renowacjom funkcjonalności tej „Fabrycznej” zasłużonej staruszką. Nie oczekujemy, że zgrzybiała „Fabryczna” przemieni się w czarującą dziewczynastolatka (nie te kosci!); przypuszczamy jednak, że przy przeprowadzeniu kuracji eskulapi z Biura Projektów Kolejowych nie zapomną o kosmetyce twarzy, bowiem pojęcie funkcjonalności w XX w. coraz ściślej wiąże się z pojęciem piękna.

ŚRODA

Polski eksport kulturalny jest niebagatelny. Wydana dzieł literatury pięknej (tłumaczenia) na

wschodzie i zachodzie, północy i południu świata sięgają trzeciej piętki w okresie 20-lecia. Mnożą się ekspozycje obrazów polskich malarzy poza krajem. Grywane są nasze sztuki teatralne, utwory muzyczne, filmy; na obojczy scenach występują dyrygenci, śpiewacy i pianiści. Ma w tym wszystkim swój udział Łódź kulturalna. Nie przesadzamy jednak w ekspozycje piękna: Bożena Wilk - „Miss Piękności” stanu Wisconsin, ubiega się obecnie o tytuł Miss USA. Panna Wilk urodziła się w Polsce, studiowała filologię angielską na Uniwersytecie Warszawskim. No cóż, my wszelako w czym jak w czym, ale w tym nie będziemy naśladować stolicy. Już dawno wyzbyliśmy się kompleksów prowincjonalnych. Nie będziemy eksportować tego, co najbliższe i niezbędne naszemu sercu.

CZWARTEK

Po taakim, dniu, tydzień, Polskę eksport kulturalny: Rzym, Paryż, Moskwa, Madryt, Tokio - kolorowe stolicy, wielkomiejskie pejzaże, feeria światła, kakofonia sygnałów, wystawy, asfalt, hotele. Na walizkę mnóstwo nalepek, w sercu zaś, wszelako nie ten żal plażki, że w Polskę gromadzą po kochających, że przez ciemność uliczek gminnych i mrok ulic po-

wiatowych. Nie, nie, bo tam też gromadzą i gminnie bywa, tylko ten eksport: co jest z eksportem książek polskich pisarzy, osiadłych i tworzących w Łodzi - do bibliotek gminnych i gromadzkich w Łodzi? To być i tu nie być, oto jest pytanie. „Ja tam byłem” (w czwartek) młodo i wina nie piłem, ale się dziwię, że w bibliotece gromadzkiej, której stan posiadania wynosi 5400 egz. nie znalazłem ani jednej książki łódzkiego pisarza. Wstyd dla pisarzy łódzkich? Nie. Też bywają eksportowani (tłumaczeni na obce języki) do kolorowych stolic. Też mają „na swoim sumieniu” wiele książek nadających się pod strzechy. W tejsze biblioteki gromadzkie w Łeczyem jest ponad 500 (pięćset) czytelników, którzy czytują nie tylko kryminały. Czytują również beletrystykę i poezję (słowo honoru) współczesną w nie najłatwiejszej konwencji - tylko nie łódzka. Coś w tym jest. Propaganda? Kolportaż? Czy coś może w komunikacji? Łódź miasto - Łódź wojewódzka nawała, bo drogi ko prawda nielukusowe, ale przecież z Warszawy w „nasze” też nie są lepsze.

PIĄTEK

Postnie. Jak maklem noś. Co robić? Gdzie iść? Na co czytać? Coś by na przyszłość zaplano-

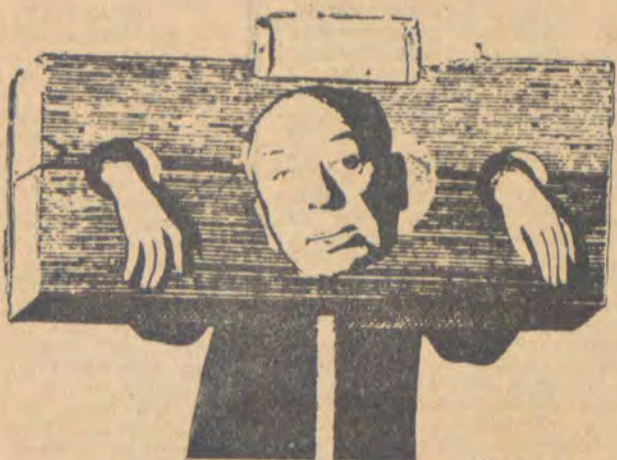
wać? A właśnie! Radzić, planować, to zwiolit, to pasja pożyteczna. Radni o sprawach kulturalnych: szkolnictwo muzyczne. Plany do roku 1970. Długo radzono podczas posiedzenia Komisji Kultury i Sztuki RN m. Łodzi. Najwięcej czasu poświęcono „dramatycznej sytuacji” lokalnej porozrzuconych w mieście szkół muzycznych. Literaci łódzcy też na Walnym Zebraniu radzili, planowali, wybierali. Ogólnopolski Zjazd Literatów Polskich w Krakowie za pasem, więc trzeba było wybrać delegatów z Oddziału Łódzkiego. Trudne zadanie, zważywszy, że wszyscy godni, wszyscy mowni i wszyscy świadomi odpowiedzialności. Wybrano tych, którzy powołają łódzkie mandaty do jagiellońskiego grodu: kol. kol. Tadeusz Gicgier, Wiesław Jazdyński, Jan Korprowski, Tadeusz Papler i Marian Flechal. Niechaj ich wola ludu nie opuszcza.

SOBOTA

Ach te formy, te barwy... tyle tego, że aż w głowie plonie kolorowo. „2 Wystawy Pokonkursowe” (Konkurs na obraz sztalugowy, rysunek, rzeźbę i plaskorzeźbę) są bogate zarówno ilością wystawionych prac, jak i ich różnorodnością. Rozpiętość ogromna: od Liberskiego do Tyszkiewiczowej; od Garbolskiego do

Łaboda

PRZECZYTAJ W TRAMWAJU* PRZECZYTAJ W POCIAGU* PRZECZYTAJ U DENTYSTY*



Przedstawiam Państwu opowiadanie którego nie pozwolili mi zrealizować w TV

Alfred Hitchcock

— Jeszcze raz przypominam sądowi, że ta kanalia Burke oskarżony jest o popełnienie tak strasznego morderstwa, jakiego nikt jeszcze nie dokonał w naszym powiecie... — mówił spokojny prokurator.

Burke czuł, jak dreszcz przebiega przez jego ciało. Mała i duszna sala sądowa rozpyliła się jak w upiornym śnie. On wiedział, że zostanie powieszony.

Prokurator mówił o nim jak o jakimś zwierzęciu. Stał się sędzią w czerwonych szelkach siedział zgarbiony na ławie i wyglądał jak olbrzymi kangur. Pop Lemoine, miejscowy gawędziarz, został jego obrońcą, ale kiedy oskarżony nie przyznał się do winy i nie chciał błagać o łaskę — Pop przestał interesować się sprawą.

— Nigdy nikogo nie zabiłem — upierał się Burke.

— No to co? To jest proces poszlakowy, oprócz tego są zaprzysiężeni świadkowie. Tę biedną dziewczynę wszyscy tutaj bardzo lubili. Nic ci nie pozostało jak tylko powiedzieć o łaskę — powiedział Pop.

— Obrona podkreśla, że nie ma zeznania żadnego świadka, który by widział jak zostało popełnione morderstwo. Ale chyba nie o to chodzi, bo przecież niekoniecznie trzeba widzieć go w momencie dokonywania przestępstwa, aby przekonać się, że to właśnie on jest winien!

Burke odwrócił głowę w stronę szeryfa Lennie. Jedyne na okazał oskarżonemu współczucie i wyrażał swoje niezadowolenie z powodu jawnego uprzedzenia się sędziów.

— Szeryf wskazał więźniowi łóżko, żeby usiadł.

— Czy pan również myśli, że jestem mordercą? — spytał Burke.

— Nie, ale spróbuj im to

udowodnić. Przecież ty nawet nie masz obrońcy. Mam nadzieję, że nie chcesz wisieć, co?

— Raczej nie.

— Sędzia Baedeker jest specjalistą od wieszania.

— Zauważyłem, że on do tego dąży.

— Przestępca musi być wykryty i ukarany. W tym wypadku sprawa jest o tyle prosta.

BRYCE WALTON

Nigdy już nikogo nie powieszę

sta, że ty jesteś przybyszem, a chyba nie podejrzewaszich o to, że powieszę kogoś z tu tejszych.

— Wobec tego nie mam żadnych szans, by się uratować.

— Masz, ale nie w tym sądzie.

— Ale ja jestem niewinny!

— Możliwe, ale nawet gdybyś był winny, to i tak bym cię nie powiesił.

— Pan sam to robi? — przestraszył się Burke.

— To wchodzi w zakres moich obowiązków — powiedział szeryf. — Byłem szeryfem dość długo i w tym czasie nie jednego powiesiłem. Stary Baedeker będzie chciał, żebym ciebie powiesił, ale ja tego nie zrobię.

— Nie zrobi pan?

— Nie.

— A kto?

— Nikt. Postaram się o to.

— Wyciągnął spod koszuli małą paczkę i podał Burkemu.

Była dość długa. Rozwinął pergamin i wyjął sześć pitek do przecinania metalu.

— Co to za kawał? — zapytał szepem Burke.

— Schowaj je na razie pod materac — odparł szeryf. — Zrobisz to w nocy. Żelazo jest miękkie. Dwie kraty przepiłujesz w ciągu trzech godzin. Piłuj od spodu, potem pokręć trochę, a wylecą z ramy jak zęby starego Baedekera, kiedy rzygniesz z głębi. Drzewo jest zgniłe, Burke, zgniłe jak to całe miasteczko...

— Nic nie rozumiem — wyszeptał Burke.

To proste. Mam już dość wieszania — powiedział szeryf. — Za miesiąc idę na emeryturę i nikogo więcej nie chcę mieć na sumieniu. Miałem zamiar z tym skończyć. Czy wiesz kto mnie do tego zmuszał? Moja żona Laura. Muszę ci powiedzieć, że za każdego powieszzonego dostaję specjalną premię, a ona bardzo lubi pieniądze... Ty malujesz obrazy, Burke, prawda?

— Tak. Znalazłem się tu zupełnie przypadkowo. Skończyła mi się benzyna, a ja nie miałem pieniędzy, żeby kupić nowy zapas. Z tego też powodu nie wynajmę adwokata.

— W tym kraju nigdy jeszcze nie wykonano wyroku na człowieku, który ma pieniądze...

Burke pomyślał chwilę, a potem spytał:

— Czy pan naprawdę chce, żebym przepiłował kraty i uciekł tej nocy?

— Tak, bo ja nie mam zamiaru wykonać tego wyroku. Przygotowałem dla ciebie trasę ucieczki. Przejdziesz przez bagno i zatrzymasz się w lesie w moim myśliwskim domku. Potem odwieżę cię samochodem do granicy stanu.

— W pana domu? — zdziwił się Burke.

— Wydaje mi się, że dom szeryfa jest ostatnim miejscem, w którym będą szukać ukrywającego się przestępcy.

— Ma pan rację.

— Musisz o wszystkim pamiętać, Burke. Uciekniesz w nocy, ale powinieneś zatrzymać się z sobą śladami. Jeżeli wytropią cię psy — będziesz wiści.

Było już zupełnie ciemno, kiedy Burke zaczął przepiłowywać kraty. Trudno jest pilować metal samym ostrzem bez oprawy. Ostrza się głębił i pękały. Musiał trzymać je bardzo blisko i pilować krótkimi ruchami. Palce boleśnie się ocięrały o szorstkie drzewo i chropowatą cegłę. Krew spływała mu po ramieniu.

Kiedy złaźnał się ostatnie ostrze — była już pierwsza w nocy. Pracował w niewygodnej pozycji. Był zupełnie zdziwiony. Okno było małe i znajdowało się prawie pod sufitem. Gdy zsuwał się na dół — upadł i uderzył głową o kant zlewu. Leżał chwilę na podłodze zupełnie nieprzytomny. W głowie mu huczało, a z przeciema nad lewym uchem sączyła się krew.

Udało mu się w końcu rozluźnić pręty i z ogromnym wysiłkiem wyrwać je z górnej ramy. Próchno posypało się na niego. Zrobił kilka głębokich oddechów i zaczął przeciskać się przez wąski otwór.

Biegł wzdłuż drogi. Nad bagnami unosiła się mgła i czasem coś poruszało się w

jak drży mu każdy mięsień.

— Nie czuję się zbyt do- brze — odparł.

Wiedział, że za chwilę upadnie. Zachwiał się i zsuwając się na podłogę chwycił za brzeg tapczanu. Dopiero wtedy zobaczył ciało. Wpatrywał się w nie nieruchomo, zbyt oziębiały by cokolwiek zrozumieć. Były to zwłoki

gdy wrócił on już tu był.

Ale wrócił za późno — głos zadrżał mu lekko. — Laura była sama. Dostał ją w swoje ręce. Zamordował. Przypuszczam, że ktoś mu powiedział jak się tutaj dostać; prawdopodobnie chciał się tu ukryć, a może nawet jedno z nas użyć jako zakładnika, ale gdy ją zobaczył — nie



Fot. Z. Jarzyński

ciemnościach. Przypadał wtedy do ziemi i nasłuchiwał drżąc, ale ludzi nie było. Biegł, aż ujrzał wreszcie trzy cypyry wyraźnie zarysowane na tle nieba. Skierował się w ich stronę, bo tam we dług wskazówek szeryfa miała być łódka. Płynął by zatrzymać się z sobą śladami, po których mogły go odnaleźć psy.

Burke czuł, że słabnie z upływu krwi. Wiedział jednak, że nim nastanie świt musi znaleźć się w chacie szeryfa.

Aligator poruszył się niespokojnie, kiedy Burke przeplątał wśród czerwonych wodnych hiacyntów. Wtedy przypomniał sobie, że właśnie dla piękna krajobrazów południa przyjechał tu, by malować. Łódka ugrzęzła w starej trzcinie i kosztowało go to wiele wysiłku, aby wyrwać ją stamtąd. Odpoczął i dyszał ciężko. Nagle krzyknął z obrzydzenia i bólu, kiedy spostrzegł, że czarne plamy na nogach i rękach to piławki. Krzyknął, ale szybko zakrył usta czarną od mułu ręką. Przypomniał sobie, że nie należy odrywać ssących krew piławek, a po prostu przypieć je czyni.

Jednakże komary były gorsze. Całe ramię leciały w jego stronę zwabione krwią i potem. Wreszcie dostrzegł żółte światło latarni i pustą tafel czarną wody. Podpłynął tam i przybił do brzoju. Przyładował łódkę, a potem zczołgał się po mulistym brzoju, aż w końcu trafił na suchy grunt, i po pewnym czasie znalazł się na ścieżce prowadzącej do chaty szeryfa.

— Żle wyglądasz — powiedział szeryf.

Burke chciał się uśmiechnąć, ale nie mógł tego zrobić nabrzmiałą twarzą. Czł

starej i bardzo otyłej kobiety. Z trudem można było rozróżnić rysy w tym co pozostało z jej twarzy. Pogrzebacz leżał w pobliżu jej lewej ręki.

— Moja żona Laura — usłyszał głos szeryfa. — ...pamiętasz? Mówiłem ci o niej.

Kiedy Burke spojrział na niego — zobaczył jak szeryf jedną ręką nakręca numer telefonu, a w drugiej trzyma skierowany w jego stronę rewolwer.

— Możesz już uwiazać psy — powiedział szeryf przez telefon.

— Morderca zjawił się tutaj. Tak, Burke. Wszedłem w noc na ryby, a

mógł nad sobą zapanować. Nie, nie musisz tu przychodzić. Poradzę sobie.

Szeryf odłożył słuchawkę. Usiadł, złożył nogę na nogę nie opuszczając rewolweru.

— Wydostałem cię z więzienia, Burke, a teraz na ciebie kolej. Musisz się zrewanżować. I tak by cię powiesili, a tak wszystko skończy się dla ciebie dużo prościej. Przecież ja ci powiedziałem, że nigdy już nikogo nie powieszę...

Przekład:

JADWIGA DUSZYŃSKA

SPEKTAKLE tygodnia

FILM			
WŁOKNIARZ	„Trzy plus dwa”, 20 seansów	5.572 widzów	40%
WOLNOŚĆ	„Pokochajmy się”, 20 seansów	5.350	65%
TEATR			
NOWY	„Lato w Nohant”, 1 spektakl	705	102%
NOWY	„Bliźniaki z Wenecji”, 5 spek.	3525	102%
Mała Sala			
JARACZA	„Drewniana miska”, 1 spektakl	705	102%
JARACZA	„Lato w Nohant”, 4 spektakle	2.820	102%
POWSZECHNY			
JARACZA	„Kaligula”, 2 spektakle	1.235	91%
JARACZA	„Koncert”, 1 spektakl	679	100%
JARACZA	„Lord z walizki”, 1 spektakl	515	75%
POWSZECHNY			
JARACZA	„Dom otwarty”, 3 spektakle	1.836	92%
JARACZA	„Dziady”, 2 spektakle	1.165	87%
JARACZA	„Robin Hood”, 1 spektakl	668	100%
JARACZA	„Ktoś nowy”, 2 spektakle	1.336	100%
7.15			
OPERA	„Latające dziewczęta”, 3 spek.	985	75%
OPERA	„Fra diavolo”, 1 spektakl	585	90%
OPERA	„Piękna Helena”, 7 spektakli	7.224	91%

PRZECZYTAJ W TRAMWAJU* PRZECZYTAJ W POCIAGU* PRZECZYTAJ U DENTYSTY*



Lewym okiem

BARDZO NOWY SYSTEM

Nie znam się wcale na projektowaniu postępu technicznego i dlatego wierzę, że tak jak jest — jest dobrze i nie może być inaczej. Myślę mianowicie o tym, że:

— w każdym zjednoczeniu przemysłu istnieje co najmniej parosobowy wydział postępu technicznego,

— każde prawie zjednoczenie posiada potężny instytut badawczy, zatrudniający paruset pracowników o najwyższych kwalifikacjach naukowych,

— prawie każde zjednoczenie dysponuje ponadto centralnym laboratorium, a przynajmniej kilkoma dużymi laboratoriami przyzakładowymi,

— w każdym zakładzie funkcjonuje komórka postępu technicznego i racjonalizacji oraz laboratorium, w każdej przemyślowej jednostce organizacyjnej działa klub racjonalizatorów, niezależnie od kół

Naczelnej Organizacji Technicznej, których zadaniem jest również podnosić wiedzę techniczną i stawić propozycje ulepszeń.

Nie wiem jaki jest zakres i podział kompetencji wymienionych ciał, zatrudniających w każdym przemyśle kilkaset, a w skali kraju wiele dziesiątków tysięcy ludzi. Wierzę, że wszyscy oni wiedzą co robić i że to robią. Jestem skłonny nawet doświadczać się błędów w wyliczeniach „Życia Gospodarczego”, gdzie stwierdzono, że efektem paroletniej pracy kilkumastu tysięcy ludzi stale i wyłączenie zajętych projektowaniem w branży motoryzacyjnej bywa opracowanie dokumentacji jednego modelu samochodu. Tak pewnie musi być.

Zapewne myślę się i wówczas, gdy przychodzi mi do głowy, że postęp techniczny realizuje się w skali światowej, że żaden kraj nie wymyśla sam dla siebie elektryczności, że sprowadza się z zagranicy lepsze urządzenia i surowce, metody produkcji i receptury, że ta droga ulepszeń technicznych decyduje o dziesięćdziesięciu procentach krajowych osiągnięć i że robi to ktoś inny, nie instytucji, biura studiów, wydziały, komórki i kluby. Robi to cały przemysł, każdy na swoim odcinku, wszyscy. Tak jak każdy po zobaczeniu na wystawie lepszego szafika albo odkurzacza wchodzi i kupuje, a nie zatrudnia żony projektowaniem lepszego odkurzacza. Zapewne — powtarzam — myślę się w takim mniemaniu, bo jeśli nie — to albo powiniem mieć ławinę oryginalnych, nieznanych nigdzie na świecie wynalazków, albo odnośne instytucje i instytucje robią co innego, niż

postęp techniczny. Bo przecież wciąż mają pełne ręce roboty.

Jedno tylko odrobinkę mnie dźwi: dlaczego poważne instytucje firmują nieraz — i to dość często — usprawnienia i w ogóle pomysły, zemużąc oczywiste? Czy trzeba wieloletnich studiów i badań, żeby stwierdzić, że czarne nie jest białe? Czy mamy wciąż jak uszlachcony mieszczuch; pan Jourdain, cieszyć się odkryciem; że na co dzień mówimy prozą?

Czy dostawa mięsa do sklepu w środę wieczór zamiast w czwartek rano; po to: żeby we czwartek eklep był naprawdę czynny od rana, żeby sprzedawał mięso; czy to jest rewolucyjny Nowy System Zaopatrzenia Stół, jak to zostało nazwane przez łódką prasę?

Czy w wypadku, gdy Eksperymentem przez duże E, poprzedzonym latami tajemniczych studiów i konferencji, nazywa się fakt, że jakiś zakład będzie produkował to, czego potrzebują odbiorcy — mamy przypuścić, że wszystkie zakłady poza eksperymentem produkują byle co, nikomu na nic nieprzydatne?

Ja wiem, to są pewnie pytania naiwne. Wynikłe z tego, że nie znam się na projektowaniu postępu technicznego. Może by tak pomyśleć nad utworzeniem przy redakcji „Odgłosów” instytutu do studiów nad zasadami projektowania projektów do założeń wytycznych do planu postępu?

CWIEK